Dariusz Kaczmarek

# OBOK NAS

## 1933 -1945









Dariusz Kaczmarek

# OBOK NAS

## 1933 – 1945

Dariusz Kaczmarek

# OBOK NAS

## 1933 – 1945

Zelów 2014

***Czesławie Kaczmarek*** –
*mojej kochanej Mamie –*
*poświęcam.*

# Wprowadzenie

## Drodzy czytelnicy

Według definicji przeszłość to część czasoprzestrzeni, w której zawarte są wszystkie wydarzenia, które miały już miejsce.

Każda mijająca chwila przechodzi do przeszłości. Mijają dni i lata. Upadają rządy i giną cywilizacje. „Panta rhei" – powiedział filozof Heraklit z Efezu – „Wszystko płynie" – wszystko przemija. To od nas zależy, czy będziemy pamiętać o tym, co minęło. Uczyć się na doświadczeniu tych, którzy żyli przed nami, którzy przeżyli swoje życie obok nas, tylko w innym czasie.

Niniejsza książka oparta jest na wspomnieniach tych osób. Ludzi, którzy tak jak my, mieli swoje troski i marzenia, którzy śmiali się i płakali, jak my, rodzili i umierali, kultywowali swoją wiarę, zwyczaje i tradycje.

Książka nie jest pamiętnikiem. Nie należy jej tak traktować. Nie jest też dziennikiem spisywanym na „żywo". Jej treść w dużej mierze powiązana jest z wydarzeniami historycznymi, ale jest w niej także nutka fikcji literackiej. Można więc powiedzieć, że jest to powieść historyczno-obyczajowa.

Starałem się, jak najlepiej udokumentować przywoływane fakty i przekazać je w formie przystępnej dla czytelnika, zdając sobie jednocześnie sprawę z istniejących ograniczeń i swojej niewiedzy w tym zakresie.

Moi bohaterowie, mimo że istnieli, to jednak nie zawsze ich życiorysy splatały się ze sobą w rzeczywistości.
Dlatego z pewnością znajdą się osoby, które powiedzą: „to nie było tak..."

Przypominam jednak, że nie jest to podręcznik do nauki historii.

Książka opisuje życie codzienne mieszkańców Zelowa i okolicznych wsi w czasach nie tak odległych, bo żyją jeszcze świad-

kowie tych wydarzeń. Ich relacje często różnią się od siebie. Zawodzi pamięć, spojrzenie na dane wydarzenie było inne lub oparte tylko na relacji pośredniej.

Moją intencją było też zapoznanie czytelników z kulturą, tradycjami i zwyczajami tej wielonarodowej i wielokulturowej społeczności w okresie przed II wojną światową i w jej trakcie. Z atmosferą tamtych dni. Dni terroru, wrogości i prześladowań.

Wiele faktów dało się odtworzyć na podstawie istniejącej literatury lub pozyskanych przeze mnie dokumentów, jednak w niektórych przypadkach nie było to możliwe, a przynajmniej nie teraz i nie w tak krótkim okresie czasu, jak napisanie tej książki. Śledzenie historii ma to do siebie, że niemal, co dzień wychodzą na jaw nowe dokumenty, nowe informacje prostujące lub zmieniające całkowicie istniejące wcześniej przekazy.

Życząc miłej lektury, liczę na to, że choć w części spodoba się państwu to, co napisałem.

**Autor**

Część pierwsza

## Oaza spokoju

Dzień 11. sierpnia 1933 roku zapowiadał się słoneczny i gorący. Na szosie prowadzącej ze Szczercowa do Łasku było cicho i niemal pusto. Jedynie wyładowana po brzegi kuframi i walizami furmanka, ciągnięta przez lichą kobyłę, toczyła się powoli, podskakując na wybojach.

Woźnica, powożąc, szedł z boku, jakby chciał zaoszczędzić koniowi dodatkowego ciężaru.

– Nu, konik! Masz dość siły – powiedział nagle. – Taka twoja praca. Tobie ciężary ciągnąć, mnie szyć, innym cholewki przybijać. Każdy ma swoje zadanie na tym świecie. Mnie za pracę dobra zapłata – tobie obrok i czysta woda. Nu! Ciągnij konik.

Mężczyzna w sile wieku, z brodą i pejsami, z lekko przyprószonymi siwymi włosami, ubrany był w białą, płócienną koszulę z zawiniętymi rękawami i kamizelkę. Na głowie miał czapkę z niewielkim daszkiem.

– Taki twój los – kontynuował mowę do konia. – Każdy ma swój los od Boga przeznaczony. Nikomu nie jest lekko – zadumał się chwilę, a patrząc na kobietę siedzącą na wozie, dodał:

– Uj! Rachela. Nie płacz. Może ciebie wiele złego spotkało, ale nie płacz – kobieta raz po raz wycierała rękawami łzy płynące po jej twarzy.

– Nie płacz. Co Bóg da, to będzie. On wie, co robi. Widocznie On ma w tym jakiś interes, że to nasze życie odmienia. Mnie wcale nie do płaczu w tym naszym nieszczęściu, choć wiem, że na początku trudno będzie, ale przecież mam swój fach. Nie płacz – powiedział łagodniej, chcąc dodać żonie otuchy, chociaż sam nie wiedział, co nowe przyniesie.

– Ach, mame! My pomożemy – odezwały się niemal jednocześnie dwa głosy.

Dwunastoletni, bosy i licho ubrany chłopak – Dawid, trzymając ręką czapkę na głowie, zeskoczył z wozu i podbiegł do ojca.

– Tate! Mogę powozić? Sarcie już próbowała – to mówiąc, zerknął na siedzącą koło matki, starszą o cztery lata siostrę.

– Bierz – ojciec podał mu lejce. – Tylko równo i nie poganiaj. Dosyć jemu ciężko.

Chłopak z zadowoleniem przejął powożenie. Szedł teraz wyprostowany i dumny.

Po obu stronach drogi widać było rowy i doły wypełnione częściowo wodą. Nieco dalej, pola suszących się w porannym słońcu torfowych „placków" i robotników ustawiających torfowe cegły w stosy.

– Dobrze, że graty przewiozłem wcześniej, torf i drewno też są już w komórce, a i kawałek strychu mamy dla siebie – mówił dalej Salomon, kontynuując przerwaną wcześniej mowę. – Jutro Szabas[1]. W poniedziałek wywieszam szyld i do roboty. Interes, to interes, czekać nie może. Trzeba dużo pracować i rękami, i głową, i nogami, a czasem własnym grzbietem, ale przede wszystkim głową. Jak dobra głowa, to interes kwitnie – rozważał głośno, układając plan na następne dni. – Słyszysz, Rachela? Do roboty – powtórzył radośnie zacierając ręce i spoglądając na żonę, która co prawda przestała już płakać, ale siedziała przygarbiona i smutna.

Sara położyła głowę na kolanach matki.

– Mame! Przygotujemy dzisiaj taki Szabas! Taki kugiel z kiszka![2] Taki dobry, że... Tate bardzo lubi kugiel i jeszcze gefilte fish[3] lubi.

– Dobrze już, dobrze, poradzimy sobie – uśmiechnęła się matka.

---

[1] *Szabas – przeznaczony na odpoczynek, ostatni dzień żydowskiego tygodnia – sobota. Zaczyna się w piątek, po zachodzie słońca.*
[2] *Kugiel z kiszka – ziemniaki zapiekane z mięsem w kiszce (flaku).*
[3] *Gefilte fish – pulpety rybne.*



– Tam teraz będzie nasz dom. Do naszego spalonego nie ma już po co wracać – pogłaskała córkę po głowie.

– Tate! Widać dwór w Krześlowie – oznajmił chłopak, odwracając głowę w kierunku idącego za nim ojca.

– Jedź szosą na Pożdżenice – ojciec wskazał ręką kierunek jazdy, a widząc koło dworu konie, dodał: – Piękne ma konie reb[4] dziedzic! Szajne koniki! – cmokał i zachwycał się stadem koni, które stajenny chłopak prowadził na popas.

Dalej droga biegła w pobliżu gęsto postawionych chałup i ludzi krzątających się w obejściach. Nie brakowało też ciekawskich, w milczeniu przypatrujących się przybyszom.

Rodzina Berkowiców zbliżała się do swojego nowego domu – Zelowa, a właściwie mieszkania, które wynajęli w kamienicy, przy Rynku. Jechali powoli, rozglądając się dookoła. W miarę zbliżania się do celu podróży, coraz wyraźniej słyszeli jednostajny szum, który powoli narastał, przechodząc w rytmiczny stukot.

Byli już blisko. Salomon przejął powożenie. Wjechali przez bramę do jednej z kamienic w asyście wrzeszczących, rozbieganych dzieci i ujadających psów.

– Nu! Stoj konik! Prrr... – Salomon zatrzymał konia na dużym podwórzu.

Właściwie były to dwa podwórka – dwóch kamienic stojących u zbiegu ulicy Kilińskiego i Rynku. Na środku rosła duża lipa. Nieco bliżej była studnia. Od niej, przez całe podwórze i dalej wzdłuż murów przechodził mały rowek, do którego wylewano pomyje z kuchni i pralni, znajdującej się tuż przy ustępach.

Dzieci biegały ciągle wokół wozu, czyniąc olbrzymi rejwach.

– Po co przyjechaliście? Będziecie tu mieszkali? A gdzie? Po Adamczewskim?

---

[4] *Reb – zwrot grzecznościowy, za pomocą którego zwraca się do szanowanych członków gminy żydowskiej i starszych mężczyzn.*

Salomon nie odpowiadał na pytania, tylko zwrócił się do rodziny.

– Jesteśmy!

Nagle spostrzegł kilku starszych Żydów, siedzących na ławce pod murem.

Ukłonił się nisko.

– Shalom Aleichem[5] – powiedział głośno.

– Shalom – odpowiedzieli powoli, kiwając głowami.

– Nu! Koniec drogi! – Salomon zwrócił się ponownie do kobiet, które siedziały wciąż na wozie, jakby nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić, ale kiedy chwycił pierwsze tobołki i postawił je na ziemi, zeszły z wozu i zaczęły pomagać.

W pewnej chwili do Dawida wypakowującego dobytek podbiegł jasnowłosy, dwunastoletni chłopiec.

– Jestem Franek! – oznajmił. – Ten od Szkudlarków, bo tu jest trzech Franków: ja, Franek Zatorskich i jeszcze od Chojnackich, ale ten jest jeszcze mały – wymienił jednym tchem.

– Jestem Dawid – wyciągnął rękę na powitanie.

Franek przywitał się i mówił dalej:

– A w ogóle, to grasz w piłke? Bo my tu gramy. Mamy takie, no swoje... takie rozgrywki. No wiesz, bo u nas Czesi, Niemcy, Żydzi, no... i my Polacy, czasem też przyjeżdżają Cygany, to też z nimi gramy. No, co? Grasz troche? Bo ja to najlepiej wole w ataku.

– Trochę graliśmy w Szczercowie – odpowiedział niepewnie Dawid, przerywając pracę.

– Nu! Dawid! Najpierw manele! – powiedział ojciec i spojrzał surowo na syna.

– No, dobra! Pogadamy później – rzucił szybko nowy sąsiad i wybiegł przez bramę na ulicę.

[5] *Shalom Aleichem – Pokój z Tobą.*



Tymczasem na podwórku zebrało się więcej osób. Nie brakowało też gapiów, wyglądających przez okna.

– Co tam taki harmider pani Nowakowa? – spytała młoda kobieta, wychylając się z okna na piętrze w kierunku sąsiedniego, w którym widać było równie ciekawską gospodynię.

– Mośki[6] przyjechały pani Wróblewska. Cała rodzina. Pewnie to ci, co pod trójką mają mieszkać, po Adamczewskim. Szybko mu sie zmarło, szkoda chłopa.

– Widzi pani, pani Nowakowa – odpowiedziała jej sąsiadka – jakby dbał o siebie i nie pił, to byłby chłop żył, a tak, ziemię gryzie – machnęła ręką.

– A bo też pani chłopy dbają o siebie – ciągnęła dalej rozmowę Nowakowa spod piątki. – Jak sie jest samemu na świecie, jak ten palec, to mu sie nie chciało, a nie był taki stary, mógł se znaleźć babe, ale nie chciał. Ile to razy mówiłam mu: Adamczewski! Weź se jaką, to ci wypierze i ugotuje, a ty zarobisz pare groszy, bo fach masz dobry i bedzie wam sie żyło, ale machał tylko rękami i mówił, że za stary. Jaki tam stary? Ledwie pięćdziesiątke skończył – Nowakowa pokiwała głową z żalu, że Adamczewski nie posłuchał jej rad i tak smutno się to dla niego skończyło. – Ide pani, bo obiad gotuje. Oby tylko te Żydy spokojne były i nadały sie na sąsiadów, bo takiego porządnego podwyrka, jak u nas, to mało.

Praca szła szybko i niebawem cały dobytek Berkowiców znalazł się w nowych mieszkaniach. Rzeczy było niewiele, a pomieszczenia skromne. Po pożarze ocalało trochę sprzętów i ubrań, jedzenie, wyposażenie kuchni, ale najważniejsze – ocalało narzędzie pracy Salomona – maszyna do szycia wraz z przeróżnymi materiałami, ścinkami, resztkami skór i całym tym drobiazgiem, bez którego krawiec nie mógłby się obejść. Kiedy skończyli wyładunek, ojciec przywołał syna kiwnięciem ręki.

[6] *Mośki – potocznie o Żydach.*

– Jadę! Oddam staremu bałagule[7], wóz i konia i zapłacę, co się jemu należy. Wrócę pieszo, więc trochę zejdzie, ale powiedz mamie niech się nie martwi. Niech robi, co do niej należy.

Słońce było jeszcze wysoko, a szosa ze Szczercowa do Łasku prawie wyludniona, z wyjątkiem Żyda idącego jej środkiem w skwarze letniego popołudnia. Nie rozglądał się na boki. Nie podziwiał piękna otaczającej go przyrody. Szedł zamyślony. Ciągle miał wątpliwości, czy decyzja dotycząca przeprowadzki w nieznane miejsce była właściwa. Starał się nie okazywać swoich obaw przed rodziną, ale wszystko tam było nowe, obce. „Trzeba będzie zaczynać od początku" – rozmyślał. „Dobrze, że wejście do zakładu będzie od Rynku, łatwiej będzie znaleźć nowych klientów. Bez nich nie będzie grosza i nie wyżywi się rodziny. Pieniądze i trochę kosztowności wyniesione z pożaru nie starczą na długo, a czynsz trzeba płacić i Dawida na nauki do chederu[8] posłać. On mądry chłopak jest. Jak się przyłoży, to będzie miał lżej w życiu. Dla Sary trzeba dobrego męża wyszukać. Zawiesić mezuzę[9] i urządzić się. Powiększyć rodzinę, jak Pan Bóg przykazał. Nu! Po kolei! Pan Bóg daje i odbiera. Odebrał dom, bo miał w tym jakiś interes. Teraz dostaniemy drugi. Widocznie tak nam było przeznaczone. Trzeba przyjąć wyroki Boskie".

– Nu, iou! Ja sobie Żyd, ja sobie radę dam – powiedział już głośno i od razu zrobiło mu się lżej i radośniej.

Słońce już zachodziło. Kiedy Salomon dotarł do Zelowa właśnie zaczynał się Szabas. Był bardzo zmęczony, ale raźno wszedł do nowego mieszkania.

– Szabas Shalom[10] – powiedział.

Po środku starannie wysprzątanej izby stał stół przykryty białym obrusem. Na nim w świeczniku dwie świece. Na półmisku

---

[7] *Bałaguła – właściciel wozu ( fury) wypożyczający konie z wozami.*

[8] *Cheder – szkoła żydowska.*

[9] *Mezuza – mały pojemnik, zawierający kawałek papieru z fragmentami Tory.*

[10] *Szabas Shalom – Spokojnego Szabasu.*



pod serwetą leżały dwie duże chały. Zupa i cymes[11] były już na talerzach. Obok stała sól, karafka z winem i kielich kiduszowy[12]. Wokół stołu zebrała się odświętnie ubrana rodzina. Wszyscy uśmiechali się, czekając co ojciec powie. Był to przecież dzień przeprowadzki i nie można było zbyt wiele wymagać od gospodyni.

– U! Wa! Co to za mecyje[13]! – Salomon wydał okrzyk zdziwienia i zadowolenia zarazem. – Pięknie się wy spisaliście!

– Chodź, tate – dzieci podbiegły do ojca, podając ścierkę i wodę do obmycia po podróży.

Stanęli przy stole. Pani domu zapaliła świece. Następnie ogarniając je trzykrotnym ruchem, zakryła oczy i rozpoczęła modlitwę:

„Baruch Ata Adonaj Elohejnu, Melech ha–olam[14]... – Salomon nalał wina do kielicha i rozpoczął modlitwę: „Bądź błogosławiony, o Panie, nasz Boże, Królu wszechświata, który stworzyłeś owoc winnej latorośli. Bądź błogosławiony, o Panie, który uświęciłeś nas Swymi prawami i w swej miłości dałeś nam dzień Szabasowy na pamiątkę Swego dzieła stworzenia. Z wszystkich dni świętych, on najświętszy, wskrzeszając pamięć wyjścia z Egiptu, domu niewoli, gdyż Ty wybrałeś nas spośród narodów w Swej miłości dałeś nam dar wielki – ten święty dzień. Bądź błogosławiony, o Panie, który uczyniłeś Szabas dniem świętym. Bądź błogosławiony, o Panie, nasz Boże, Królu wszechświata, który zadbałeś, by chleb ten wyrósł z ziemi".

Wszyscy obmyli ręce wodą. Na zmianę, trzykrotnie prawą i trzykrotnie lewą rękę. Po odmówionej nad chałą modlitwie,

---

[11] *Cymes – coś fajnego, świetnego, także deser.*

[12] *Kidusz – modlitwa nad kielichem z winem podczas Szabasu.*

[13] *Mecyje – coś nadzwyczajnego, doskonałego.*

[14] *Baruch Ata Adonaj Elohejnu, Melech ha–olam – Bądź błogosławiony Panie Boże nasz, Królu wszechświata, który nas uświęciłeś swoimi przykazaniami i przykazałeś nam zapalać świece Szabasu.*

ojciec umoczył jej kawałek w soli i zjadł. Rachela wystawiła z piekarnika przygotowaną jeszcze poprzedniego dnia faszerowaną rybę i nałożyła po kawałku na talerze, a Salomon rzekł do dzieci:

– Bóg nakazał świętować Szabas, a my słuchamy jego nakazów, bo gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął. Wtedy Bóg pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym. Po chwili zadumy, dodał: – Jutro idziemy do bóżnicy[15] pokłonić się Bogu i prosić rabina[16] o modlitwę za naszą rodzinę.

Pierwszą noc w nowym domu Dawid przespał tak mocno, że nie słyszał gwałtownej burzy, która przetoczyła się nad Zelowem. Nie słyszał też codziennego gwaru, jaki dochodził z ulicy. Dopiero, kiedy Sara przyszła go obudzić, ocknął się i usiadł zaspany na łóżku.

– Sarcie! Śniło mi się, że jestem rabi[17] w Domu Modlitwy i wszyscy przychodzą do mnie po radę.

– I co ty im powiedziałeś Dawid?

– Ja im nic nie powiedziałem Sarcie, bo nie wiedziałem, co im powiedzieć.

– To głupi był ten sen – odpowiedziała siostra.

– Może on nie był taki głupi Sarcie, bo tak myślę, że jakbym wziął się za naukę, to byłbym taki mądry, jak nasz tate i mógłbym każdemu dać dobrą radę.

Zelowska bóżnica stała niedaleko Rynku. Na placu między ulicami Kościuszki i św. Anny. Jej odrzwia były szeroko otwarte dla tłumnie zdążających do niej wyznawców. Wyglądem przypominała drewnianą stodołę lub szopę ze spadzistym dachem.

[15] *Bóżnica – żydowski Dom Modlitwy.*
[16] *Rabin – nauczyciel, mistrz.*
[17] *Rabi – mój mistrz (tytuł honorowy).*



Była niewielka, jak na potrzeby lokalnej, żydowskiej społeczności. Wnętrze podzielone było na dwie części. Na dole stały drewniane ławy – to miejsce przeznaczone było dla mężczyzn. Kobiety wchodziły po drewnianych schodach do tzw. babińca. Na balkonach, które wychodziły na główne pomieszczenie bóżnicy, uczestniczyły w modlitwach.

W środku, mimo wysokich, zakończonych łukiem okien, panował półmrok. Na stołach stały lichtarze ze świecami do oświetlania wnętrza. Po środku, na Bimie[18], usytuowany był stół, na którym stała Menora, siedmioramienny świecznik. Według tradycji wyglądał on dokładnie tak, jak jego pierwowzór wykonany przez Mojżesza, zgodnie z instrukcją przekazaną mu przez Boga, a który stawiano przed Arką Przymierza w Świątyni Salomona w Jerozolimie. W świątyni każdy zacniejszy Żyd, miał swoje stałe miejsce. Najbardziej honorowymi były miejsca przy ścianie, gdzie mieścił się Aron ha-Kodesz, najważniejszy element wyposażenia głównej sali. Była to szafa ołtarzowa, służąca do przechowywania Rodału ozdobnej drewnianej skrzynki, w której trzymano zwoje Tory[19]. Przysłonięta była bogato zdobioną, aksamitną kotarą – Parochetem, którą zdejmowano podczas modlitw. Na półkach leżały święte księgi do nauki Talmudu[20] i do modlitwy. Bóżnica była nie tylko miejscem modlitw i nabożeństw, lecz także miejscem studiowania Tory, Talmudu oraz salą zebrań. Na co dzień nad porządkiem wokół domu modlitwy czuwał dozorca. Do jego obowiązków należało także palenie w piecu w okresie chłodów. Mieszkał przy Rynku, tak jak pomocnik rabina. Przy ulicy Kilińskiego 4 mieszkał zastępca rabina, Fajwisz Mordka Uberbaum. Każdy, kto miał do załatwienia jakąś sprawę, kierował się właśnie do nich.

[18] *Bima – podwyższone miejsce w centrum bóżnicy, synagogi.*
[19] *Tora – pięć pierwszych ksiąg Biblii, najważniejszy tekst objawiony judaizmu.*
[20] *Talmud – jedna z podstawowych ksiąg judaizmu.*

W pobliżu świątyni była studnia oraz jedna z najważniejszych instytucji żydowskiej gminy – mykwa – rytualna łaźnia, w której Żydzi dokonywali rytualnej kąpieli, zwłaszcza w wigilię święta Jom Kippur[21].




*Bilet wstępu do bóżnicy, kupca manufaktury – Joska Wigdorowicza, zam. w Zelowie przy ul. Kościuszki 71.*

Ze wszystkich stron Zelowa podążali Żydzi w kierunku Domu Modlitwy. Mężczyźni szli szybko, czytając po drodze święte wersy. Każdy z nich z nakrytą głową – w kapeluszu lub mycce[22].

Salomon i Dawid weszli do środka. Stanęli z tyłu pośród tych, którzy nie mieli wykupionej miejscówki. Rachela i Sara podążyły za innymi kobietami do babińca. Tego dnia rodzina Berkowiców powierzyła Bogu swoje przyszłe życie w nowym, nieznanym im miejscu.

[21] *Jom Kippur – Dzień Pojednania. Jedno z najważniejszych żydowskich świąt.*
[22] *Mycka – mała, okrągła czapeczka bez daszka.*



Po nabożeństwie wrócili do domu. Salomon włożył do mezuzy zwitek papieru z wersami Tory, które otrzymał od sofera[23]. Miały one zapewnić domostwu ochronę przez Boga. Odmówił błogosławieństwo.

– Oby Wszechmogący czuwał nad nami – dodał i objął swoich najbliższych.

Sobotnie popołudnie Dawid postanowił przeznaczyć na poznanie najbliższej okolicy. Wychodząc z kamienicy natknął się na poznanego poprzedniego dnia Franka.

– Cześć Dawid! – usłyszał. – Lecę pograć w piłkę. Idziesz ze mną?

– Dzisiaj Szabas, nie mogę – odpowiedział Dawid. – Może następnym razem.

– No, dobra, kiedy indziej pogramy. Teraz ci wszystko pokażę.

Chłopcy wyszli na ulicę. Z daleka dobiegał śmiech dziewcząt, grających w „klasy" i krzyki chłopców, toczących na wyścigi fajerki. Co jakiś czas można było usłyszeć piskliwe głosy raz po raz przelatujących jeżyków. Tuż obok rozległej kałuży pożywiało się stadko gołębi, wydziobując spomiędzy bruku różne smakołyki.

Honorowe miejsce w Rynku zajmował pomnik. Zwieńczony był legionowym orłem z rozpostartymi szeroko skrzydłami – z popiersiem Tadeusza Kościuszki na cokole. Całość otoczona była betonowymi słupkami, połączonymi grubymi, żelaznymi łańcuchami i niską siatką, otaczającą posadzone kwiaty i iglaste drzewka. Wokół Rynku stały wysokie, murowane kamienice i niższe drewniane i murowane domy. Całość tworzyła ścisłą zabudowę.

[23] *Sofer – uczony w piśmie, skryba.*





*Zelów. Rynek. Pomnik Tadeusza Kościuszki w dniu odsłonięcia w 1924 r. (u góry) i w 1939 r. (na dole)*



– Tu są dobre lody. U Sieradzkiego – Franek wskazał ręką w kierunku cukierni znajdującej się obok, pod „czwórką". – Mówie ci, pycha – objechał językiem górną wargę, chcąc zaznaczyć ich wyjątkowy smak. – Ale dzisiaj nie mam pieniędzy, może jutro coś wykombinuje. Zwykle mam troche drobnych, bo ja jestem ministrantem, służe do mszy u nas w kościele, a jak jest jakiś pogrzeb, to niose krzyż i ksiądz daje mi za to 50 groszy, żebym sobie kupił bułki, albo co innego. Tylko w tym tygodniu jakoś słabo umierali – Franek wyjaśnił koledze powody braku gotówki.
– Pokaże ci, gdzie jest kino – kontynuował.

– Muszę wrócić na kolację – odpowiedział Dawid.

– Chodź, to niedaleko. Nie martw sie, zdążysz.

Szli dalej ul. Św. Anny. Franek wskazał ręką na budynek kina, znajdujący się po lewej stronie.

– To tu. Kino „Corso". Jak bedą wyświetlać dobry film, to pójdziemy.

– Jeszcze nie byłem w kinie – Dawid zrobił smutną minę.

– No, to tym bardziej pójdziemy. Mówie ci, fajnie jest. A po prawej, ten drewniany budynek pod nr 9, to cheder. Tu bedziesz chodził?

– Jutro tu przyjdę. Jeśli tate każe. Za rok Bar Micwa[24] – dodał Dawid.

– Zenek Pejgów będzie miał Konfirmację[25] za trzy lata, a ja byłem już u Komunii – wtrącił Franek.

– Jaki Zenek?

– No, kolega. Mieszka na Kościuszki. Razem w ławce siedzimy. On jest Czechem.

---

[24] *Bar Micwa – dosłownie „syn przykazań". Żydowska uroczystość, w czasie której żydowski chłopiec staje się pełnoletni wobec prawa religijnego.*

[25] *Konfirmacja – akt potwierdzający przyjęcie Chrztu Świętego u wyznawców religii ewangelicznej. Młodzież podczas uroczystego nabożeństwa w pierwszym dniu Święta Zesłania Ducha Świętego (Zielone Świątki) przyjmuje po raz pierwszy Komunię Świętą, publicznie składa wyznanie wiary i ślubuje przed zgromadzonym Zborem wierność Bogu i Kościołowi.*

– Dużo tu Czechów – zauważył Dawid.

– Bo to czeska osada, ale mieszkamy tu wszyscy razem i razem do szkoły chodzimy. I wszyscy mówimy po polsku. Tylko w domach różnie sie gada.

– Naprawdę muszę już wracać. Zaraz kolacja. Kończy się Szabas.

– Obejdziemy wkoło – do Żeromskiego, a później w prawo, Kilińskiego. Tu wszędzie blisko – powiedział Franek głosem stałego bywalca okolicy.

Po pięciu minutach przechodzili obok kawiarni, mieszczącej się na rogu kamienic, w których mieszkali. Przed wejściem stały dwie bryczki. Czekały, na klientów, którym nogi „odmówią posłuszeństwa". Ze środka dochodził przytłumiony gwar i melodia, którą ktoś grał na harmonii.

– No, to do jutra – rzucił Franek. – Już trafisz.

– Cześć – odwrócił się na pięcie i pognał do bramy wejściem od ulicy Kilińskiego.

Po kolejnej nocnej burzy niedzielny poranek był rześki.

– Może dzisiaj nie będzie już tak gorąco – powiedziała Rachela do córki, otwierając okno.

Z podwórka dochodziły okrzyki i piski gromadki bosych dzieci, taplających się w kałużach.

– Sarcie. Trzeba się wziąć do roboty. Ja poukładam w szafie, a ty pomóż tate. Później zrobimy obiad.

Salomon był w drugiej izbie, gdzie panował jeszcze wielki rozgardiasz. Po środku pomieszczenia stała maszyna do szycia. Na stole i wokół niego leżało mnóstwo większych i mniejszych pakunków. Przy ścianie stała pusta szafa, która wyglądała niczym olbrzymia ryba z otwartym pyskiem.

– Tate! Mame przysłała mnie, żebym ci pomogła – powiedziała Sara, wchodząc do pracowni ojca. – Gdzie Dawid? – dodała patrząc na pustą kozetkę stojącą w kącie pomieszczenia. Ojciec odwrócił się w stronę córki. W rękach trzymał rolkę materiału i bezradnie rozglądał się, gdzie by ją położyć.



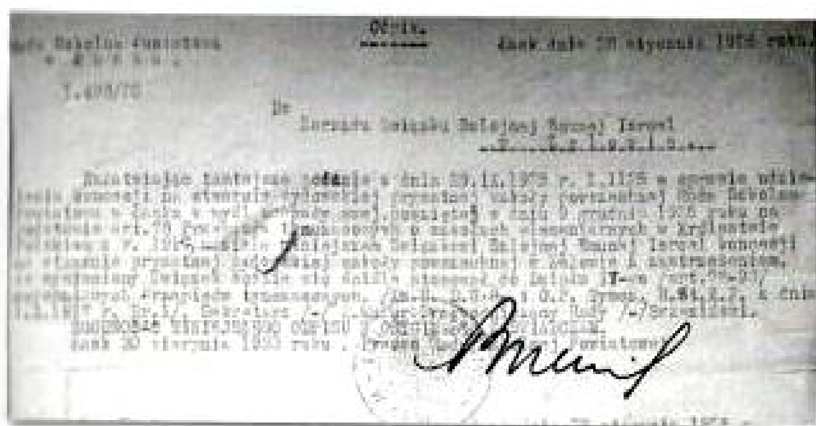
– Dawid? Zaraz on będzie. Pomoże mi przestawić maszynę. Później pójdziemy zapisać go do chederu. Sarcie, kochana. Poukładaj cały ten bajzel – Salomon odłożył materiał i ręką zaznaczył w powietrzu wielkie koło.

Nagle Dawid wpadł do izby, jakby się paliło.

– Znowu gdzieś ciebie twoje nogi ganiają – powiedział ojciec.

– Nu, bierz! – chwycił za brzeg maszyny, by przestawić ją pod okno. – Będzie dobre światło do szycia – dodał. – A teraz ty ubierz świąteczne ubranie. Pójdziemy do chederu, do kierownika Jana Webera lub do mełameda[26].

Do szkoły było zaledwie kilka minut drogi. Weszli do środka od strony małego podwórka. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do panującego wewnątrz półmroku, zobaczyli wiszącą na ścianie dużą tablicę z napisem: „Szlomej Emunej Isroel"[27].



Odpis.

*Odpis dokumentu potwierdzający wydanie zezwolenia na otwarcie w Zelowie prywatnej szkoły żydowskiej.*

[26] *Mełamed – nauczyciel w szkole żydowskiej.*

[27] *Szlomej Emunej Isroel – Centralna Organizacja Żydów Ortodoksów w Polsce.*



*List Zarządu szkoły do Inspektoratu Szkolnego w Zduńskiej Woli.*

Dalej przeszli do izby szkolnej przez inną izbę, w której mełamed uczył młodsze dzieci religii. Drzwi do klasy były szeroko otwarte. Pomieszczenie było niewielkie i zapełnione ławkami. Na ścianie wisiało godło państwowe, portret prezydenta Ignacego Mościckiego i portret marszałka – Józefa Piłsudskiego. Przy małym stoliku, tuż przy jedynym oknie, siedział wysoki, szczupły mężczyzna. Odziany był w niezbyt nowy garnitur i krawat. Coś pisał.



– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedział kierownik, podnosząc wzrok znad kartki i kładąc obok kałamarza przyrząd do pisania.

– Pan Weber? – spytał Salomon.

Mężczyzna skinął głową.

– Proszę o wybaczenie. Przyszliśmy tu, ja i syn, aby zapisać go na nauki – to mówiąc, delikatnie wypchnął Dawida przed siebie. – Chodził do szkoły w Szczercowie, ale piątego oddziału nie skończył, bo w domu pomagał, kiedyśmy się spalili. Teraz mieszkamy tutaj i niech uczy się dalej na chwałę Bożą.



*Pismo powierzające kierownictwo szkoły, Janowi Weberowi.*

Mężczyzna przyjrzał się uważnie przybyszom i po dłuższej chwili powiedział:

– Witamy w naszej diasporze[28] i w naszej szkole. Nauczamy tu modlitw, Biblii i Talmudu, rachunków i innych przedmiotów.

[28] *Diaspora – rozproszenie członków danego narodu wśród innych narodów.*

Dbamy o staranny wygląd uczniów. Zwracamy uwagę na obchody świąt narodowych oraz dyscyplinę. Czynimy też starania, aby w Zelowie powstała ośmioletnia, Powszechna Szkoła Religijna, ale to na razie plany, więc na kolejne dwa lata będzie chodził do Szkoły Powszechnej na Kościuszki lub na Szkolną. Można być spokojnym. Zajmiemy się synem tak, że wyrośnie na pobożnego i mądrego człowieka. Z racji wieku zapiszemy go do ostatniego oddziału. Zaczynamy od września.



*Cheder. Klasa żeńska. Na ścianie, po środku – godło państwa polskiego. Z lewej portret prezydenta – Ignacego Mościckiego. Z prawej portret marszałka – Józefa Piłsudskiego.*

***



Poniedziałek był ważnym dniem dla całej rodziny. Salomon założył tałes[29], tefilin[30] i stanął twarzą w kierunku Jerozolimy. Odmówił poranną modlitwę. Potem otworzył zakład i usiadł przed wejściem na wysokim stołku. Nie liczył na tłumy, ale choćby na jednego klienta – tak, na dobry początek. Co chwilę zerkał przez otwarte drzwi do środka.

– To nasza jedyna żywicielka – myślał o maszynie do szycia, która stała pod oknem, gotowa do pracy. Wokół powoli robiło się gwarno. Konne wozy, dorożki, ludzie zdążający w różne strony. Otwierano sklepy i zakłady. Do odległego o około 50 metrów Urzędu Gminy wchodzili dostojnie ubrani urzędnicy. Pod posterunek policji, który mieścił się tam gdzie gmina, podjechał policjant w pięknym, granatowym mundurze. Postawił rower pod ścianą i wszedł do środka. Z minuty na minutę coraz więcej dzieci biegało i bawiło się w wyścigi, berka, grało w klipę. Chłopcy, stojąc w dużym kole, kopali do siebie piłkę. Przed sklepami z koszerną wędliną sprzedawcy zachęcali do kupowania swoich towarów.

– Gospodyni kupi! Dobra kiełbasa, smaczna kiełbasa. Spróbować sama. Najlepsza towar – mówili, częstując przechodzące kobiety.

Salomon obserwował krzątających się wokół niego ludzi. „Jaki piękny jest ten świat" – myślał. – „Wszyscy gonią od rana. Każdy ma coś do załatwienia. Pracują, żeby jeść, pić, żeby mieć w czym chodzić, żeby godnie żyć. Modlą się do Boga, żeby wspierał ich w tym, co robią, bo robią to na chwałę Bożą, bo tylko Bóg się liczy, rodzina, miłość, i czyste sumienie, no i jeszcze zdrowie..."

Z rozmyślań wyrwał go nagle głos mężczyzny, który stanął

---

[29] *Tałes – żydowski szal modlitewny.*

[30] *Tefilin – czarne skórzane pudełeczko wykonane z jednego kawałka skóry koszernego zwierzęcia, w których znajdują się cztery ustępy Tory, ręcznie przepisane w języku hebrajskim przez sofera.*

przed nim. Ubrany był w jasny garnitur. Na głowie miał słomkowy kapelusz, w ręku trzymał laskę z czarną gałką.

– Dzień doberki! Szanowny pan nowy? – zagadnął.

Salomon podniósł się ze stołka i odpowiedział kilkakrotnym, niskim ukłonem.

Mężczyzna zrobił krok w kierunku wejścia.

– Czy można? Mam interesik.

– Jak interesik, to dobrze pan trafił. U mnie każdy może zrobić interesik. Żyd wyciągnął obie ręce do przodu, zapraszając do środka i ponownie nisko się ukłonił. – Czego jaśnie pan sobie życzy?

– Widzi pan, mam już swoje latka, nie żebym był za stary, ale czas założyć rodzinkę. Kogoś poznać co, no... tego... byłaby do rzeczy. Rozumie pan?

– Czego mam nie rozumieć? Rozumiem doskonale, o co szanownemu panu chodzi.

– No, a ja w jednym garniturku. Rozumie pan? – powtarzał. – Czas zmienić ubranko, no... i tego... ustateczkować się żdziebko. Może skroiłby pan na mnie jakiś zgrabny uniformik?

– Ja tylko zgrabne uniformiki szyję. Szanowny pan lepiej trafić nie mógł – cmoknął krawiec, przykładając palce do ust, jak to miał w zwyczaju. – Zaraz szanowny pan znajdzie kandydatkę na żonę. Mało, że jedną, mogą być dwie, albo trzy kandydatki. Czy życzy pan wziąć miarę zaraz?

– Nie, nie. Dzisiaj nie mam czasu, ale wpadnę jutro. Dzisiaj jeszcze kawusi nie piłem – tłumaczył. – Wpadłem tylko spytać – mówił, cofając się do drzwi.

– Tak. Jutro zajrzę – a uśmiechając się, dodał: – Kawusia i na tarasik. Tak, na tarasik – i już go nie było.

Salomon zastanowił się.

– Czy to dobry znak na przyszłość? Może on wróci, a może nie wróci?

Nie trwało jednak długo, bo do środka weszła kobieta z kilkuletnim chłopcem.



– Dzień dobry. O! To nie ma pana Adamczewskiego?

– Podobno się zmarło biedakowi – odpowiedział spokojnie Salomon.

– O! Nie wiedziałam. Dobry był człowiek. Dawno u niego nie byłam. Niech mu ziemia lekką będzie. No cóż! Widzę, że krawiec za krawca. Temu smykowi trzeba spodnie uszyć. Do tej pory nosił po bracie, ale przydałyby się nowe, wełniane.

– Szanowna pani lepiej trafić nie mogła. Już biorę miarę.

Piętnastego sierpnia, wcześnie rano, zaczęły się w zelowskim Rynku przygotowania do mszy świętej z okazji święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny oraz uroczystości związanych z rocznicą ucieczki bolszewików spod Warszawy w 1920 roku. Cały Rynek został odświętnie przybrany kolorowymi wstążkami i biało-czerwonymi flagami. Przy pomniku Kościuszki organizatorzy postawili stół przykryty białym obrusem, który miał być ołtarzem. Ustawili też ławy i krzesła. Tymczasem Franek spał sobie w najlepsze.

– Wstawaj, śpiochu! – mama zaczęła ściągać z niego koc.

– Wstawaj! – dodał ostrzej ojciec, bo spóźnimy się do kościoła.

Franek otworzył oczy.

– To tata w domu? – spytał przeciągając się we wszystkie strony.

– Jak widzisz! Mnie też należy się uczcić takie święto. To wielki dzień dla Narodu polskiego i dla nas, katolików – dodał.

– Prawda! Do kościoła! – Franek oprzytomniał i zerwał się na równe nogi, po czym ubrał się szybko i cała rodzina Szkudlarków poszła na uroczystą mszę.

Wszystko było gotowe. W pierwszym rzędzie zasiadły władze Zelowa: wójt – Włodzimierz Pospiszył, gminni radni, komendant policji w Zelowie – Władysław Kim oraz przedstawiciele lokalnych parafii na czele z pastorem parafii Ewangelicko-Reformowanej – Aleksandrem Piaseckim, pastorem bełchatowskim –

Jakubem Gerhardtem z kościoła Ewangelicko-Augsburskiego oraz pastorem Baptystów – Teodorem Sitarzem.



*Zarząd Gminy Zelów 1927 - 1931. Wójt: Włodzimierz Pospiszył. Radni: A. Fajks, K. Pospiszył, K. Swoboda, A Bejenke, J. Matys, Józef Pejga, Franciszek Kostelecki, M. Matys, Józef Jersak, K. Włodarczyk, Josek Frydman, Josek Siwek. Sekretarz: J. Petrykowski. Rachmistrz: K. Gapik. Sołtys kolonii Zelów: P. Twardy. Woźny: Karol Kupec*

Franek zdążył w ostatniej chwili. Włożył komżę, zadzwonił dzwonkiem i razem z księdzem wyszedł na rozpoczęcie mszy.

– Assumptio Beatae Mariae Virginis in coelum[31] – zaczął ksiądz proboszcz Jan Grodkiewicz – to dla nas katolików jeden

[31] *Assumptio Beatae Mariae Virginis in coelum – Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny.*



z najważniejszych, w kalendarzu liturgicznym, dni. Pomódlmy się więc dzisiaj za naszych parafian oraz za ojczyznę miłą, aby Pan Bóg strzegł ją i jej mieszkańców od wojen i nieprawości. W rocznicę Cudu nad Wisłą pomódlmy się za poległych w obronie naszej ojczyzny, aby ofiara ich życia nie była daremna i doprowadziła ich przed oblicze Pana Boga Wszechmogącego.



*Franek Szkudlarek*



*Ksiądz Jan Grodkiewicz*

Dawid obserwował ceremonię, siedząc na schodach przed wejściem do zakładu ojca. Czekał na Franka. Kiedy uroczystość dobiegła końca, wstał i wzrokiem wyszukiwał kolegę wśród rozchodzących się ludzi. Zobaczył go, biegnącego w jego stronę.

– Szukałem cię wczoraj – zagadnął, kiedy chłopak był już blisko. – Aleś się wystroił! – dodał z podziwem.

Franek ubrany był w białą koszulę, spodnie z kantami do kolan, podkolanówki i nowe, brązowe buty. Pod pachą trzymał starannie złożoną komżę.

– Wczoraj byłem u babci w Bujnach – odpowiedział zasapany, ale zadowolony ze spotkania. – Po południu też ide. Po mleko i jeszcze na jeżyny. Pójdziesz ze mną? Pokaże ci „Patyki".

– Co? – Dawid uśmiechnął się.

– No, takie miejsce w lesie, gdzie jest rzeka i góry żółtego piachu, jak na jakiej pustyni. Zobaczysz, fajnie bedzie. Przyjde do ciebie po obiedzie – dodał i popędził do domu.

– Tate. To był mój nowy kolega, Franek – powiedział Dawid do wychodzącego z zakładu ojca. Pomaga do mszy księdzu.
Czy to dobrze tate, że mam kolegę katolika?

– Naucz się synu, że ludzie na całym świecie są różni, że mają czarny, biały i inny kolor skóry. Ubrani są w liche odzienie lub wytwornie, jak hrabiowskie, wielkie państwo. Naucz się też, że ludzie na różne sposoby wierzą we Wszechmogącego. Nie zwracaj na to wszystko uwagi, tylko patrz, czy oni mają dobre serce. Ludzie czasem kręcą i kombinują, byleby interes szedł. Czasem mogą mieć małe, trefne[32] rzeczy na swoim ciele i na duszy, ale jeśli oni żyją tak, że inni ludzie przez nich nie płaczą, jeżeli nie gwałcą, nie mordują, to oni są dobrzy ludzie. Jeżeli taki jest twój kolega, to ty Dawid nie patrz, że on jest katolik, ty nie patrz, że ewangelik, ty patrz, że on jest dobry człowiek.

Dawid czekał na nowego znajomego, chodząc tam i z powrotem po podwórzu. Zobaczył go wchodzącego do bramy w towarzystwie drugiego chłopaka.

– To jest Zenek Pejga. Razem w ławce siedzimy – przedstawił przyjaciela.

Przed Dawidem stanął wysoki, szczupły chłopiec o ciemnych włosach.

[32] *Trefne – zakazane.*



– Cześć! – podali sobie ręce. – Idę z wami. Będziemy się kąpać. Nie zapomnij też bańki na jeżyny.

Chłopcy szli polami w kierunku lasu, rozmawiając i śmiejąc się serdecznie. Na przemian opowiadali sobie historie związane ze szkołą, z ich kolegami i koleżankami. Przechwalali się, który z nich lepiej gra w piłkę. W końcu zaczęli się sprzeczać o ilość strzelonych goli. Po chwili doszli jednak do wniosku, że w taki piękny dzień nie można się kłócić. A dzień był gorący i parny.

Na skraju lasu, gdzie jeżyn było najwięcej, słońce doskwierało najbardziej. Kolce, jedyna obrona krzewów przed intruzami, kaleczyły ręce i nogi. Jednak wszystkie uciążliwości rekompensowały smaczne, soczyste owoce, które szybko znikały w ustach. Naczynia, które zabrali ze sobą, szybko się zapełniły. Podrapani i spoceni chłopcy dotarli nad rzeczkę, która płynęła spokojnym nurtem, wijąc się między zielenią drzew, krzewów i nadbrzeżnych roślin. W czystej wodzie pływały ławice drobnych rybek. Wskoczyli do chłodnej, orzeźwiającej wody. Śmiali się i chlapali. Wokół rozciągał się pachnący żywicą las, pola dopiero co skoszonego zboża i góry żółtego, czystego piasku.

– Kto pierwszy na szczyt? – krzyknął Franek i zaczął biec.

Po dotarciu na wyznaczoną przez siebie metę, rzucił się na piasek.

– Oczywiście, że ja! – dodał uradowany.

– Chwalipięta – powiedział Zenek, kładąc się zdyszany obok.

Dawid dobiegł ostatni.

– Ale ten piach gorący! – powiedział, skacząc z nogi na nogę.

Leżeli w błogim rozleniwieniu. Wygrzewając się w słońcu, obserwowali przepływające po niebie obłoki.

– Ta tutaj wygląda, jak krowa – Franek wskazał ręką na kłębiastą chmurę.

– Eee, tam! Jak byk – zaśmiał się Zenek.

– Czemu?

– Bo nie ma cycków.

Chłopcy roześmiali się.

– Mógłbym tak leżeć godzinami – powiedział Dawid.

– Ja też – dodał Franek, odwracając się na brzuch.

– A mnie coś gryzie – Zenek zerwał się na równe nogi, drapiąc się po pośladku.

Nagle dało się słyszeć warkot silnika zbliżającego się motoru. Przejechał szybko drogą, która przebiegała z drugiej strony rzeki.

– Takiego chciałbym mieć – Zenek patrzył z otwartymi ustami za znikającym w tumanach kurzu pojazdem. – A tu jeszcze dwa tygodnie i do szkoły... – westchnął, kiedy motor zniknął w oddali.

– W szkole też jest fajnie. Bardzo lubię szkołę i książki – odpowiedział Dawid.

– Pewnie. Wy to tylko mundre książki byście czytali i interesy robili. Na świecie są też inne rzeczy, niż książki i pieniądze – zirytował się Franek. – Ja to bym chciał zwiedzić cały świat. Zobaczyć dalekie kraje, Eskimosów i Murzynów.

– A ja wolę samochody i motory, wszystko co ma silnik – wtrącił Zenek. – Albo taka elektrownia na Poznańskiej. Byłem tam z tatą, jak ją otwierali. Kiedyś będę konstruktorem maszyn na prąd, albo będę robił silniki do samolotów. Pan Skarżyński cały Atlantyk przeleciał takim samolotem.

– Wracamy? – zapytał Dawid.

– Wejdziemy jeszcze po mleko do mojej babci i weźmiemy jajka od cioci. Będziemy mieli na lody. Babcia i dziadek mieszkają razem z wujem, ciocią i moim kuzynostwem – wyjaśnił.

– Jak to, na lody? – spytał Dawid.

– No, za jedno jajko – loda. Zamiast 5 groszy.

– To za jedenaście jajek dostaniesz chleb – uśmiechając się, wyliczył Dawid.

– Sierakowski nie handluje pieczywem – także z uśmiechem odpowiedział mu Franek.

– Ale u nas w piekarni możesz wymienić – wtrącił Zenek – za mendel jaj dostaniesz chleb i bułkę.



Kiedy wracali, słońce już zachodziło za horyzont. Czerwona łuna rozlewała się po niebie, barwiąc kłębiaste chmury. Było cicho i przyjemnie. Rozgrzana ziemia oddawała nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Od pól i łąk powiewał lekki, ożywczy wiatr. Wokół słychać było głośne i miłe dla ucha cykanie świerszczy. Jedynie złośliwe i wszędobylskie komary dokuczały wędrowcom w drodze powrotnej do domu.

Dawid, myśląc, że domownicy już śpią, wszedł po cichu do mieszkania. Zamierzał od razu udać się na spoczynek. Mylił się jednak. W kuchni czekała na niego matka.

– No, Dawid. Siadaj i mów. Co masz na swoje usprawiedliwienie? Ojciec jest zły na ciebie, że ty tak długo nie wracałeś.

– Ależ mame. Są wakacje. Poznałem nowych kolegów i rodzinę Franka i... i zobacz, ile jeżyn przyniosłem.

– I, i... – odpowiedziała Rachela lekko się uśmiechając.

– I zobacz, jak ty wyglądasz. Masz się najpierw porządnie umyć, a jutro jeszcze porozmawiamy. Masz dopiero dwanaście lat. Martwiliśmy się o ciebie.

– Przepraszam mame – powiedział skruszony. – Już idę się myć i już się kładę – podszedł do szafki na której stało wiadro z wodą i miska, ale odwrócił się jeszcze i spytał. – Mame. Tate bardzo jest zły?

Matka uśmiechnęła się i pogłaskała syna po głowie.

– Nie bardzo. Jakoś mu wytłumaczymy, teraz dobranoc – pocałowała go w czoło i poszła do sypialni.

Następnego dnia już o szóstej rano obudziły Dawida odgłosy z ulicy – rżenie koni, stukot metalowych obręczy kół wozów, toczących się po bruku i dobiegająca zewsząd ludzka mowa.

– Tate, co się dzieje?

Salomon, którego też obudziły hałasy, usiadł na brzegu łóżka. Odezwał się dopiero po chwili, jakby musiał uprzytomnić sobie, że to jawa, nie sen.

– Nu. Dzisiaj środa. Targ będzie.

Rynek szybko zapełnił się wozami i kramami. Sklepy i kawiarnie wypełniły się gwarem. Słychać było rozmowy w różnych językach. Widać było ludzi w różnych strojach. Jedni kupowali, inni sprzedawali, jeszcze inni tylko oglądali. Wolne miejsca pomiędzy wozami zajmowały gospodynie z koszami wyładowanymi po brzegi masłem i śmietaną, twarogiem i jajami. Obok, na ziemi, leżały kupki grzybów i stały wiadra pełne jeżyn. Na stojących na obrzeżach wozach – żywe ptactwo: gęsi, kury, kaczki. Wszystko to gęgało, skrzeczało i kwakało. Ludzie handlowali, czym tylko się dało.

– Dobry towar! – zachęcali. – Dobre kartofle, świeże warzywa.

Stary Żyd z długą siwą brodą chodził z metalowym wiadrem, zachęcając do kupowania śledzi, a gromadka dzieci, biegając wokół niego przedrzeźniała go, wołając:

– Dobry ślidż! Dobry ślidż!

Przy pomniku ustawiła się kapela – wygrywała różne melodie i przyśpiewywała wesoło. Przed nią leżała czapka, w którą wrzucano monety. Każdy mógł zamówić ulubioną piosenkę. Śpiewali więc i grali grajkowie „Góralu, czy ci nie żal..." i inne smutne oraz wesołe piosenki. Przez tłum przedzierał się chłopak, pchając przed sobą skrzynkę na kółkach, wołał:

– Lody, lody! Dla ochłody!

Przy kramach zbierały się kobiety. Zwłaszcza młode dziewczęta przebierały chusty, korale i paciorki. Starsze Żydówki chodziły pomiędzy gospodyniami wyszukując, jak najbardziej koszernych wyrobów.

– Ne, ne! Trefne – mówiły, kręcąc głowami.

Rachela z córką kupowały głównie rzeczy do jedzenia i do kuchni.

– Sarcie. Kupimy mąkę, jajka i proszek do pieczenia. Tylko, żeby był „Pulchnik". Zrobimy ciasto na Szabas. I przypomnij, żeby kupić kartofle, chochlę i dwa gary na mleko. Koniec z wyparzaniem. Będą na drugi zestaw.



Po powrocie do domu Sara weszła do ojca.

– Tate. Uszyjesz mnie nową sukienkę? – spojrzała błagalnym wzrokiem – mam tylko tę. Ty jesteś najlepszym krawcem.

Jej ciemne oczy błyszczały, a na ustach pojawił się najładniejszy z jej uśmiechów. Wiedziała, że to najlepszy sposób, aby tata jej nie odmówił. Sara była ładną dziewczyną. Wyglądała na starszą, niż jej rówieśniczki. Była mądra i posłuszna. Bardzo kochała ojca, a on był z niej bardzo dumny.

– A czy to takie wielkie nieszczęście, Sarcie ty moja?

– Oj! Tate! To mało nieszczęście, to wielka tragedia – odpowiedziała, przytulając się do ojca i śmiejąc się głośno.

– Twój tate jest dobrym krawcem, ale nie jest najlepszy. Najlepszym krawcem jest Bóg. Zobacz, jak on pięknie skroił i uszył ten świat i to tylko w sześć dni. Na początku Bóg stworzył Niebo i Ziemię. Potem rzekł: „Niech się stanie światłość" i stała się światłość. Później stworzył wody, lądy i gwiazdy. Następnie stworzył zwierzęta. A później rośliny, aby żywe istoty wyżywić. Na koniec stworzył Bóg ludzi na obraz i podobieństwo swoje i rzekł do nich: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie ziemię, i czyńcie ją sobie poddaną". Urządził to tak, żeby wszystko na ziemi miało swoje miejsce i wszyscy byli potrzebni.

– A pan Hitler, tate? – wszyscy mówią, że krzywdzi Żydów.

– To zły człowiek. Krzywdzi nie tylko Żydów. Taki jest ten świat. Walka dobra ze złem wciąż się toczy. Są ludzie, którzy nienawidzą innych. Żeby zaspokoić swoje chore dążenia, zatuszować swoje wady i niedoskonałości szukają „kozła ofiarnego". A co my, Żydzi, jesteśmy temu winni? Urodziłem się Żydem i Żydem umrę. Mój tate był Żydem, mój dziad był Żydem, jego dziad... i jeszcze wcześniej, aż do początków naszego Narodu. Mamy swoją wiarę, mamy tradycje, tego się nie wyprzemy. A przede wszystkim... Bóg jest z nami.

Po chwili zadumy, dodał:

– Moja Sarcie. Twój tate uszyje ci taką sukienkę, że wszyscy chłopcy będą tylko na ciebie patrzali.

Sara spuściła głowę i okryła się rumieńcem.
– Oj, tate! – wyszeptała zawstydzona.
– Ty pójdź mi teraz po zioła, wiesz jakie – Salomon wyciągnął pieniądze z kieszonki w kamizelce i podał córce.

Drogeria pana Szymańskiego znajdowała się na parterze domu, przy ulicy Sienkiewicza. Sklep podzielony był na dwie części. W jednej mieścił się skład apteczny, w drugiej farby, kleje i pędzle. Można było tu też kupić atrament i zeszyty szkolne.
W powietrzu roznosił się zapach ziół i tabaki.



*Ulica Sienkiewicza. Koniec lat 30. XX w. Po lewej wejście do drogerii.*

– Witam panienko – zwrócił się do niej starszy pan. – Może cukierka?
– wyciągnął przed siebie małą tacę pełną słodkości.
Sara podeszła do długiej, szerokiej, ciągnącej się wzdłuż całego sklepu lady.
– Dzień dobry panu. Tate przysłał mnie po zioła. On zawsze pije zioła, bo…



W tej chwili drzwi do sklepu otworzyły się, co oznajmił zawieszony nad nimi mały dzwoneczek. Do środka wszedł mężczyzna w wysokich, gospodarskich butach, starych portkach i wytartej, płóciennej koszuli. W jednej ręce trzymał bat, w drugiej kawałek papieru.
– Niech będzie pochwalony – powiedział grubym głosem.
– Na wieki wieków – odpowiedział właściciel.
– Mam tu do wypłaty od księdza dobrodzieja.
– Witajcie Macieju. Co u was słychać? Dawno was nie widziałem – Szymański odebrał od przybysza kartkę, na której było napisane: „Do wypłaty 5 zł" i podpis: „ks. Grodkiewicz". – Coście dzisiaj wozili?
– Żwir od Stępnika z Kolonii Pożdżenickiej. Za darmo dał na kościół. Ja jeno za przywózke wezme, co by było za co dzieckom chleba kupić. Wczoraj i dziś obracałem pare razy. Ino, że wczoraj cały dzień zeszło, do zachoda... Bóg zapłać – woźnica odebrał zapłatę. – Uczciwy człowiek jesteśta. Od razu wypłata, jak sie i należy. Wiedzieli komu zawierzyć pieniądze na budowe… A nasz kościół rośnie i pięknieje z każdym dniem. Na chwałe Bożą. No, jade. Szczęść Boże! – dodał, wychodząc.
– Szczęść Boże, Macieju. A pozdrówcie dzieciaki i żonę.
Chłop nie odwrócił się, tylko podniósł rękę do góry w podziękowaniu i wyszedł.
– Przepraszam, panienko – sprzedawca zwrócił się ponownie do Sary. – To, co chciałaś?
– Tate przysyła mnie po zioła, bo jego ciągle coś w żołądek gniecie i pali – dokończyła dziewczyna.
– Dam ci ziółka, które na pewno twojemu tacie pomogą – sięgnął na półkę. – „Diurol" Gąseckiego. Na pewno pomogą – podał dziewczynie paczkę ziół.
– Jesteście tu nowi? Nigdy cię tutaj nie widziałem.
Sara skinęła głową.
– No, to życzę wam zdrowia i witamy w Zelowie.

## Pierwsze miesiące

Wakacje dobiegły końca. Dawid ochoczo wybrał się do szkoły na rozpoczęcie roku. Uroczystość rozpoczęła się modlitwą i czytaniem Tory. Obecny był założyciel chederu, Lajb Kuperwasser oraz przedstawiciel zarządu szkoły, Chaim Liberman. Kierownik szkoły życzył uczniom dobrych wyników w nauce. Przypomniał też o zobowiązaniach, jakie przyjmą na siebie w przyszłym roku chłopcy kończący 13. rok życia oraz, że wszelkie zaniedbania w nauce i nieposłuszeństwo będą surowo karane. Poprosił też o przestrzeganie zasad zawartych w Torze i codzienną modlitwę.

– Zawsze pamiętajcie o dniu Szabasu, aby go uświęcić – zaznaczył na koniec dyscyplinująco.

Po godzinnej uroczystości, chłopiec wrócił do domu.

– Tate, czy mogę tu posiedzieć i poczytać?

– Nu, czemu miałbyś tu nie posiedzieć i nie poczytać? Siadaj i czytaj, a ja będę szył. I mnie i tobie raźniej będzie. A jak w szkole? Co ty taki smutny jesteś?

– Eee.. nic – odpowiedział, jakby chciał wykręcić się od dalszej rozmowy.

– Nie martw się, poznasz kolegów i będzie dobrze – pocieszał go Salomon.

Dawid nic nie powiedział. Otworzył książkę. Na pierwszej stronie widniał tytuł: Henryk Sienkiewicz. „W pustyni i w puszczy" oraz stempel Towarzystwa Miłośników Sztuki założonego przez państwo Gąsiorowskich rok wcześniej.

Dla rodziny Berkowiców wrzesień był początkiem nowego 5693 roku. Pierwszy dzień miesiąca tiszri[33] był jednocześnie

[33] *Tiszri – pierwszy miesiąc cywilnego kalendarza żydowskiego, przypadający na wrzesień – październik w kalendarzu gregoriańskim.*



początkiem okresu Strasznych Dni, w czasie których należało, rozmyślając i modląc się, odbyć pokutę za grzechy, aby w Jom Kippur zostać zapisanym przez Boga do księgi sprawiedliwych i pobożnych. Były to dni ścisłego postu zakończone obfitą kolacją i budową obok domu szałasu, który przypomina Izraelitom o drodze przez pustynię, jaką musieli przebyć, zanim dotarli do Ziemi Obiecanej. W dniu kończącym ten okres, zwanym Sukkot albo Radością Tory, wszyscy cieszą się i ucztują spożywając barszcz z uszkami, gołąbki z kapustą i pieczone mięsiwa.

Kuchnia w domu Berkowiców była miejscem, w którym koncentrowało się życie całej rodziny. To tu spotykano się przy posiłkach, rozmawiano i obchodzono wszelkiego rodzaju uroczystości religijne i rodzinne. Do gospodyni należało prowadzenie domu, przygotowywanie posiłków i opieka nad dziećmi. To ona odpowiadała za przestrzeganie zasad koszerności spożywanych przez domowników posiłków. Garnki i naczynia były zawsze starannie wyparzone, a pomieszczenia czyste i schludne.

Pani Berkowic była dobrą gospodynią. Dbała o dom i smacznie gotowała. Sara wrodziła się do matki. Chętnie pomagała i niejedną przygotowaną przez nią potrawę wychwalano pod niebiosa, żartując, że dla takich specyjałów to warto i worek pieniędzy dać. Sarcie dumnie unosiła głowę i mówiła:

– To moja mamele[34] tak mnie wyuczyła.

Wszyscy lubili słuchać jej piosenek, które nuciła swoim dźwięcznym głosem, krzątając się w kuchni:

„Kropelka deszczu, słońca promyk, spokojny kąt, choć maleńki domek. Gdy człowiek zdrów, czegóż więcej trza? Sukienka, całe dwie zelówki, w kieszeni cztery, trzy złotówki. Gdy człowiek zdrów, czegóż więcej trza? Kropelka deszczu, słońce z nieba, na stole śledź i kromka chleba. Gdy człowiek zdrów, czegóż więcej trza?"

[34] *Mamele – mateczka.*

Rachela i Salomon byli dumni ze swoich dzieci. Wiedzieli, że mogą na nich liczyć, kiedy się zestarzeją. W rodzinie panowała zgoda, miłość i wzajemne poszanowanie.

***

Tuż przed meczem eliminacyjnym do Mistrzostw Świata, Polska – Czechosłowacja, chłopcy postanowili rozegrać swój własny, podwórkowy mecz. Chcieli przekonać się, która reprezentacja wygra w Zelowie. Przygotowania i treningi oraz przechwałki, „kto jest lepszy", trwały od tygodnia. Ustalono termin spotkania. O sędziowanie i kontrolę czasu, Franek poprosił wuja, który kilka lat wcześniej grał w Zelowskim Klubie Sportowym. Wujek dał im też nieco zużytą, ale prawdziwą piłkę.

Kiedy Dawid, Franek i Zenek szli na „plac boju" już z daleka widzieli, że coś się dzieje. Z sąsiedniego podwórka słychać było krzyki i przekleństwa, które sypały się „jak z rękawa". Chłopcy, zamiast rozgrzewać się na boisku, leżeli na brzuchach, na dachach komórek i śmiejąc się głośno, przyglądali się czemuś z zainteresowaniem.

– Co się tam dzieje? – spytał Franek.

– Było trochu śmichu, bo to fajna heca była! – odpowiedział, schodząc z komórki syn fryzjera Kifela, Icek.

– Ale przedstawienie – dodał, zeskakując z dachu Karol, kuzyn Franka.

– No, powiedzcie w końcu, czego tak rechoczecie! – Franek zniecierpliwił się, ale widząc kolegów, którzy śmiali się do łez, uśmiechał się także.

– Cieszkowscy znowu się pokłócili. Ciągle się kłócą. Ciągle tam policja. Jeden na drugiego ją wzywa. Wiesz przecież, że oni tam mają jedno mieszkanie, na pół sobie przedzielili, ale jedna izba, to jeden kibel w podwórku, na dwóch braci – Karol znów nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ale po chwili opanował się i kontynuował opowieść. – No i starszy Cieszkowski, żeby



dokuczyć bratu, zamknął ten kibel na kłódkę. To wtedy ten młody nie mógł wejść – Karol położył się ze śmiechu na ziemi.

– No i co dalej? – dopytywali zniecierpliwieni chłopcy.

– To on… to on… założył kłódkę na kłódkę! I awantura gotowa, kumasz?

– Ale jaja! – krzyknął Franek i razem z Dawidem i Zenkiem zaczęli się śmiać.

– Oni chyba mają coś nie tak z głową? – dodał Dawid, nie mogąc opanować śmiechu.

– Tylko nie tak? – spytał Karol. – Oni mają kompletnie porąbane! Obaj w portki narobią!

Śmiech znów opanował wszystkich chłopców.

– No dobra. Starczy tego – powiedział Franek, robiąc poważną minę. – Czas pokazać, kto rządzi na podwórku. Składy znacie. Polacy przeciw Czechom. Dawid, Icek i Abram do nas, a bracia Bornsztajn i Mordko, do drużyny Zenka.

Mecz był zacięty. Wokół zebrało się wielu kibiców, którzy raz po raz pokrzykiwali, dodając sił to jednej, to drugiej drużynie. Na 10 minut przed końcem był remis – 2:2. W pewnym momencie mocno kopnięta piłka przeleciała nad komórkami i spadła na sąsiednie podwórko.

– Aut! – wrzasnął Karol i pobiegł po piłkę dookoła.

W chwili wytchnienia zawodnicy położyli się, gdzie kto mógł, aby wypocząć.

Po dłuższej chwili chłopak wrócił.

– Gdzie piłka? – spytał ze zdziwieniem Franek, widząc, że kuzyn wraca z pustymi rękami.

– Nie ma! Stara Niemka nie chce oddać.

– Jak to, nie chce? Przecież to nasza piłka.

– Wpadła do jej ogródka – kontynuował Karol – podobno kwiatki jej zniszczyła, chociaż nie widać, żeby były połamane.

Z ziemi podniosło się kilku oburzonych chłopców.

– No, to jak, dokończymy mecz? – pytali jeden, przez drugiego.

– Chodźcie ze mną – Franek kiwnął na Dawida i Zenka, Karol dołączył do nich.

Poszli przez sąsiednią bramę z zamiarem odzyskania swojej własności. Weszli na podwórko z małym ogródeczkiem, w którym były resztki warzyw i podwiędłe już kwiaty. Okno, które wychodziło na rabaty, było otwarte.

– Pani Kelm! – zawołał Franek. – Prosze nam oddać piłke.

W oknie pojawiła się postać starszej kobiety w chustce na głowie zawiązanej na czole.

– Na, mata! – powiedziała oschle i rzuciła nią w kierunku chłopców.

– Dzięku… – Frankowi słowo uwięzło w gardle.

Piłka była przebita.

– Przebiła nam piłkę! – powiedział z niedowierzaniem Zenek. – Zupełny flak – oglądał ją ze wszystkich stron.

– Jak pani mogła? – zaczęli krzyczeć.

– Powiem tacie – dodał Franek.

Sąsiadka wychyliła się przez okno i już miała coś krzyknąć, ale powstrzymała się i powiedziała spokojnie.

– Już taka była. Może, jak uderzyła o ziemię, to się przebiła.

– Nieprawda! Pani kłamie! – wrzeszczał oburzony Franek – ide do ojca.

– Czekaj – powstrzymał go starszy od niego Karol – sami wymierzymy sprawiedliwość.

Salomon szył na maszynie, kiedy drzwi do zakładu otworzyły się i wszedł średniego wzrostu mężczyzna z obfitymi czarnymi wąsami, w krótkich, na jeża zaczesanych włosach. Ubrany był w długi płaszcz, spod którego widać było białą koszulę z krótkim kołnierzykiem i muszkę.

– Żona pyta, czy futro już gotowe? – Salomon zerwał się na równe nogi.

– Witam w moich skromnych progach, że też jaśnie pan sam się fatygował – ukłonił się nisko i mówił dalej. – Czemu ma być



niegotowe. Miało być na dziś gotowe. Jest gotowe. Właśnie miałem wysłać chłopaka, a tu taki gość, taki gość – powtarzał krawiec, kłaniając się co chwilę. – Pan spocznie, pan poczeka, zaraz zapakuję – wytarł krzesło rękawem i podsunął mężczyźnie. – Futro, jak nowe. Naprawiłem. Nową podszewkę dałem. Jak nowe. Nikt nie powie, że nie nowe.

W tej samej chwili do zakładu wbiegł zdyszany i brudny Dawid.

– Tate! Stara Niemka przebiła nam piłkę!

– Czemu ona to zrobiła? – spytał ojciec.

– Bo piłka wpadła do jej ogródka, jak graliśmy mecz. Bardzo ważny mecz. Ale nic jej nie zniszczyła, a ona ją przebiła.

Specjalnie to zrobiła, bo ona nas nie lubi... Ona nikogo nie lubi.

– Pewny jesteś, że to ona zrobiła? Widziałeś to?

– No… – Dawid zawahał się – nie widziałem – dodał uczciwie.

– Więc nie spotwarzaj sługi przed panem jego, aby cię nie przeklął, a ty za to nie odpokutował. Od osądzania jest Bóg, a grzeczność nakazuje witać się, kiedy gdzieś wchodzisz – Salomon ukłonił się w stronę gościa. – Przepraszam pana za syna – dodał.

Dopiero teraz Dawid spostrzegł siedzącego z boku mężczyznę.

– Dzień dobry – ukłonił się.

– Witam, witam. Chętnie posłucham. Mam syna, wiem, jak to jest.

– Ale proszę pana – Dawid zwrócił się teraz do przybysza. – Ona tak podobno zawsze. Jest stara i zgorzkniała i wszystkim robi na złość. Po prostu jędza.

– Słuchaj, synu – zaczął Salomon. – Dawno temu żył pogodny i wesoły człowiek o imieniu Symeon. Był życzliwy dla wszystkich ludzi, bo był szczęśliwy. Miał kochającą żonę i dzieci, miał gdzie mieszkać i co jeść. Jednak pewnego dnia w mieście wybuchł wielki pożar. Jego żona i dzieci zginęły, a dom się spalił. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Odtąd zaczął stronić od wszyst-

kich. Stracił wiarę nie tylko w ludzi, ale także w Boga. W końcu wszystkich znienawidził, a nienawiść niszczy człowieka. Nie ma normalnego życia bez przebaczenia i bez wiary, że będzie lepiej. Może tak było ze starszą panią, a może inaczej. Mówię ci to jeszcze raz. Sądzić będzie nas tylko Wszechmogący. Jak w przypowieści króla Salomona..., ale to nie teraz, bo pan wójt czekają – ponownie ukłonił się w stronę klienta.

– Ty jesteś mądry człowiek, Salomon – powiedział, wstając z krzesła wójt gminy Zelów, Włodzimierz Pospiszył. – W naszej Radzie jest dwóch waszych przedstawicieli. Wybory za dwa lata. Macie swoją gminę, porozmawiaj. Potrzeba nam mądrych głów, co to chcą dobrze dla całej naszej społeczności, bo nie tak prosto każdemu dogodzić. Potrzeby są ogromne, żądania z każdej strony, a kasa pusta. Tymczasem niektórzy wasi sieją niezgodę. Nie dalej, jak w zeszłym tygodniu, grupa młodych Żydów chodziła po chodnikach, trzymając się za ręce i krzyczeli: „Wasze ulice! Nasze kamienice!". Do Polaków to kierowali. Może oni byli pijani, może nie? Ludzie schodzili im z drogi, ale komu służy takie zachowanie?

Salomon odetchnął głęboko.

– Urodziłem się Polakiem i nim się czuję. Polska jest moją ojczyzną, ale wierzę, że uda się nam, jak Polsce, po wielu latach niewoli, doprowadzić do utworzenia naszego państwa na ziemi naszych przodków. Na chwałę Pana naszego i naszego Narodu Izraela. Wierzę w to, czego nauczyli mnie moi rodzice, moi przodkowie. A cóż.... Jestem tutaj i chcę, żeby wszystkim ludziom się wiodło, żeby każdemu szło, jak po maszle.

– Dobrze mówisz – wtrącił wójt – mieszkamy w Polsce i naszym zadaniem jest działać dla tego kraju i jego mieszkańców. Niestety nie wszyscy wasi mówią tak, jak ty, zwłaszcza ci, co z bolszewikami trzymają. Takim nie ustąpimy. Z takimi będziemy walczyć, gdy zajdzie potrzeba. Co do wiary, to każdy ma prawo do tego, żeby wierzyć w wiarę swoich przodków. Każdy też ma prawo do własnego zdania, ale czym więcej jest jednomyślności



w narodzie, tym lepiej dla ogółu. Żadnych burd nam tu nie trzeba. Rozmawiałem już o tym z przedstawicielami waszej gminy, ale cieszę się, że my także się rozumiemy.

***

Dni płynęły szybko. Dawid przywyknął do nowego otoczenia. Najchętniej przebywał z wesołym i gadatliwym Frankiem, choć nie brakowało chłopców w jego wieku i jego wyznania. Po szkole i wypełnieniu swoich domowych obowiązków chodzili to tu, to tam. Grali w piłkę i w chowanego. Oglądali gołębie, które hodował kuzyn Franka. Spotykali się często. Najczęściej na podwórku, ale także umawiając się wcześniej.

– Gdzie idziemy? – spytał Dawid Franka, kiedy ten wszedł po niego o umówionej wcześniej porze.

– Na spotkanie.

– Jakie spotkanie?

– Nie mogę powiedzieć.

– Co to za spotkanie, że nie możesz powiedzieć?

– No, nie mogę. Obiecałem Karolowi, że nie powiem, to nie. Słowo, to słowo. Mogę tylko powiedzieć, że będzie nas pięciu chłopaków. Ja, ty, i jeszcze Zenek, no i Karol i Mateusz Dąbrowscy.

Chłopcy czekali na nich na sąsiednim podwórku za komórkami.

– No! Nareszcie, jesteście! Najwyższa pora, bo zaraz będzie ciemno i nie zdążymy naszykować.

– Ale, czego? – spytał Dawid.

– Pamiętacie, jak mówiłem, że sami wymierzymy sprawiedliwość za naszą piłkę? – powiedział Karol.

– Co chcesz zrobić? – pytał dalej Dawid.

Franek usiadł pod murem, jakby nie chciał się mścić.

– Nie martwcie się, nic takiego. Po prostu trochę ją postraszymy – wyjaśnił Karol.

– Ciiiszej, bo nas usłyszy – Franek zerwał się z ziemi.
– No, a jak postraszymy? – zapytał szeptem Dawid.
– Założymy jej „pukawkę". Mam tu kartofla i agrafkę, zaczepimy go na niej i wbiję agrafkę w futrynę przy szybie, potem założę tę nitkę i zobaczymy, co będzie. Tylko cicho i dobrze się schowajmy.
– Nie zerwie się? – Zenek wypróbował nitkę.
– Nie. Mocna jest.
Chłopcy schowali się, a Karol podkradł się pod okno. Przyczepił agrafkę. Potem dotknął palcem do ust na znak, aby byli cicho i ukrył się na ziemi pomiędzy kwitnącymi marcinkami. Pociągnął delikatnie za sznurek i puścił, powtórzył czynność jeszcze dwa razy. Zamarli i czekali, co będzie. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Ledwie widzieli zarys okna, ale nasłuchiwali. Karol co jakiś czas ponawiał czynności. Za każdym razem mocniej pociągając za nić. Nagle w izbie zapłonęło nikłe światło karbidowej lampy. Kobieta podeszła do okna. Przyłożyła twarz do szyby. Patrzyła w kierunku ogrodu, ale było na tyle ciemno, że sprawcy mogli bezpiecznie siedzieć w swoich kryjówkach. Kiedy światło zgasło, chłopak z szelmowskim uśmiechem na twarzy zaczął stukać ponownie. Tym razem kobieta otworzyła okno.
– Kto tam? Jest tam kto? – patrzyła przed siebie w ciemność nocy i tylko jej sylwetka oświetlona z tyłu słabym światłem wskazywała, że stoi w oknie.
Po dłuższej chwili przeżegnała się i odeszła. Przyniosła zapaloną świecę i ustawiła na parapecie. Klęknęła i zaczęła się modlić półgłosem. Chłopcy poczuli się jakby zawstydzeni. Wycofali się po cichu. Przez chwilę szli w milczeniu.
– Ale ją postraszyliśmy – powiedział bez wielkiego entuzjazmu Zenek, próbując wymusić uśmiech na twarzy.
– Niech ma! Za naszą piłkę – dodał Karol, ale chyba też myślał inaczej.
Pozostali milczeli.



Nadeszły jesienne słoty. Ciągle padające deszcze sprawiły, że niżej położone ulice były prawie nie do przejścia. Idąc do bóżnicy, lub ulicą Św. Anny do chederu, trzeba było trzymać się blisko płotu. Ubrania i buty przemakały, a biedniejszym, których nie było stać na porządne obuwie, woda chlupotała w trepach. Liście szybko opadły. Zrobiło się szaro i ponuro.
Po szkole i spełnieniu obowiązków nałożonych mu przez rodziców Dawid całymi godzinami czytał książki lub przysłuchiwał się rozmowom, jakie toczyły się w zakładzie ojca. Zaglądał też na strych. Lubił obserwować stamtąd życie osady i rozmyślać.
Jeszcze dwa, trzy tygodnie temu, pośród promieni jesiennego słońca i kolorowych liści, pośród codziennego gwaru, tętniło tu życie. Teraz, kiedy zrobiło się zimno, zamarło. Częściej niż ludzi, pośród siąpiącego bezustannie deszczu, zobaczyć można było wałęsające się psy i szczury wychodzące ze śmietników.

Siedząc na strychu, przy oknie, Dawid patrzył daleko przed siebie. Deszcz przestał na chwilę padać i jakby się rozjaśniło. „Niemcy też budują swój kościół..." – pomyślał, gdy dostrzegł zarysy nowej, niedokończonej jeszcze budowli przy ulicy Żeromskiego. „Tate wspominał, że my będziemy budować swoją murowaną bóżnicę. Dużo się buduje w tym Zelowie. Może kiedyś będzie to takie miasto, jak Łódź, o której opowiadał mi Franek. Mnóstwo fabryk, i ludzi, i tramwaje, i...". Nagle dostrzegł Zenka, który skakał po Rynku, omijając kałuże. Dawid zbiegł szybko po schodach i podążył mu naprzeciw.
– Gdzie idziesz? – krzyknął.
Chłopak podniósł głowę i zatrzymał się. Dopiero teraz zauważył kolegę.
– Cześć! Do sklepu. Po naftę. Dużo teraz jej idzie, bo wieczory długie. Chodź ze mną, pogadamy.
Do sklepu nie było daleko. U Abrama Wolfa, przy Rynku, można było dostać wszelkiego rodzaju artykuły żelazne: gwoździe, narzędzia budowlane i do ogrodu, druty, żarówki, skoble,

kłódki oraz naftę. Stała w metalowej, stulitrowej beczce z pompką i miarką do jej odmierzania. Przy ladzie słabo oświetlonego sklepu zobaczyli trzech, starszych od siebie chłopaków znanych im z widzenia, którzy głośno dyskutowali ze sprzedawcą, starym Żydem z pejsami i długą, przerzedzoną, siwiejącą brodą.

– Chciałem te lepsze żarówki – usłyszeli rozmowę. – Takie, żeby świeciły jak najdłużej.

– U mnie wszystkie żarówki dobry towar. Świecą, jak dziesięć lamp na nafta, a długo tak…

– A te tańsze są gorsze? – chłopak przerwał przechwałki Żyda.

– Nie gorsze, też dobry towar.

– Eee…, jak tańsze, to muszą być gorsze.

– Inna firma, inna. Te Daimond, a te droższe – firma Osram. Jak kupisz dużo, to jeszcze zejde z cena – Żyd wyszczerzył trzy pożółkłe zęby, uśmiechając się na myśl o sprzedaży większej ilość towaru.

– Wezmę cztery. Te droższe.

– Niech weźmie jeszcze jedna, dla pełnego rachunku – dodał Żyd, ciągle się uśmiechając.

– Nie, nie. Cztery.

Sprzedawca sięgnął po towar z półki i położył na ladzie.

– Razem cztery złote i dwadzieścia groszy.

Chłopak zaczął oglądać żarówki ze wszystkich stron.

– Antek! Tyle pieniędzy za cztery żarówki – wtrącił kolega, starając się ukryć uśmiech na twarzy.

– Tak. Masz rację. Drogo. Chyba nie wezmę.

– Aj! Aj! Jahwe niech mi świadkiem będzie. Najtaniej w Zelowie sprzedaję – Żyd podniósł obie ręce i oczy ku niebu.

– Wie pan co, panie. Daj pan jedną tą tańszą, a ja se ją sam osram – rzucił szybko Antek i zaczął się śmiać, a z nim pozostali jego koledzy.

Właściciel zaczął wygrażać im pięścią i wyzywać.



– Aj! Waj! Aj! Waj! Bandytniki, rabuśniki, goje[35]! Abyście byli zapisani na zły rok!

Chłopcy nie słyszeli złorzeczeń. Wybiegli ze sklepu, śmiejąc się głośno. Dawidowi i Zenkowi, choć z początku uśmiechnęli się pod nosem, było trochę głupio. Podeszli do sprzedawcy dopiero po dłuższej chwili.

– Chciałbym litr nafty – powiedział Zenek, kładąc pieniądze na ladzie. Wzburzony Żyd schował pieniądze i nalał nafty do przyniesionej bańki.

– Szkoda mi go – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. To starszy człowiek.

– A jak on oszukuje, to dobrze? – zirytował się Zenek.

– Nie dobrze, ale taki ma fach, żeby sprzedać towar i zarobić. My już tak mamy. Mój tate mówi, że Polak zarobi złotówkę, a wyda dwie, a Żyd wyda złotówkę, żeby zarobić dwie.

– Ale zimno dzisiaj – Zenek otrząsnął się, zmieniając temat rozmowy.

– Dobrze, że w domu ciepło – dodał Dawid.

– Tak, ale nie każdy ma swój dom. Słyszałem, że dzisiaj na ten przykład było u nas otwarcie Domu Opieki, na Złotej 15. Państwo Gąsiorowscy i Towarzystwo Opieki nad Ubogimi otworzyli dla starych ludzi, żeby mieli gdzie mieszkać.

– My też opiekujemy się starszymi. Są mądrzy. Tate mówi, że mają doświadczenie z życia i to dlatego. Ja już nie mam dziadków i bardzo tego żałuję.

– A moja babcia i dziadek dużo mnie uczą i opowiadają o świecie i mój tata też. On był w carskim wojsku, daleko w Rosji. Nad taką rzeką, co się nazywa Amur. Kiedyś mi opowiadał, że złapali w tej rzece wielką rybę i jak ją sprawiali, to w środku był mały kitajec.

– Co to takiego, kitajec?

---

[35] *Goj – ktoś spoza narodu Izraela, czyli nie Żyd.*

– Ja też długo nie wiedziałem, ale później okazało się, że to mały Chińczyk. Ryba go połknęła i później musieli wszystkie kotły w kuchni szorować, bo mój tata był w wojsku kucharzem, a później piekarzem został i dlatego teraz mamy piekarnię.
– Znowu leje – zauważył Zenek. – Nie ma co, czas do domu. Zobaczymy się jutro.




*Rodzina Gąsiorowskich – założyciele Przytułku Starców w Zelowie.*

Następnego dnia, po powrocie ze szkoły, Dawid od razu zajął się odrabianiem lekcji, ale patrzył tylko w książkę, nie mogąc się skupić. Wspominał ciepłe dni, wakacje i kolegów. Z Frankiem widział się po raz ostatni kilka dni wcześniej. Spotkał go, jak zwykle, biegnącego do kościoła.



– Gdzie ty znowu tak gonisz?
– Dzisiaj wielka uroczystość – krzyknął chłopak. – Musze jeszcze coś załatwić, i sie przebrać... Nie mówiłem ci? Mam być w kościele na południe. Biskup Tymieniecki aż z Łodzi przyjeżdża. Bedzie święcił kościół!

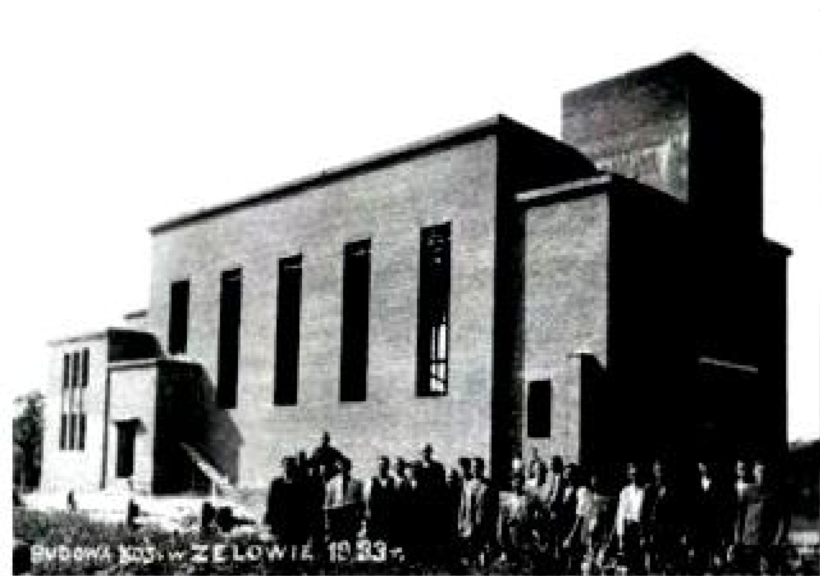


*Kościół rzymskokatolicki w Zelowie w 1933 r.*

Zelowski kościół rzymskokatolicki budowano od 1931 roku. Dzięki staraniom księdza Grodkiewicza oraz całej katolickiej społeczności Zelowa i okolic 4 listopada 1933 roku udało się oddać obiekt w stanie surowym. W celu zebrania funduszy na jego budowę organizowano festyny, majówki – głównie przy pomocy zelowskiej Straży Ogniowej i Związku Rezerwistów Wojennych. Dziesiętnicy zbierali datki. Organizowano loterie fantowe. Ludzie dawali na fanty, co kto mógł: kury, kaczki, gołębie, przedmioty codziennego użytku, a zdarzyło się nawet, że na loterię wystawiono, podarowaną przez pana Bartczaka, krowę.

Bogatsi obywatele oprócz fantów dawali pieniądze, a zwykli mieszkańcy gminy nieodpłatnie pomagali, pracując na budowie.

Brakowało jeszcze wieży i wyposażenia, ale nie brakowało chętnych, którzy dla chwały bożej i dla przyszłych pokoleń oddawali swoje siły i oszczędności.




*Kościół rzymskokatolicki w Zelowie w 1933 r.*

Czas płynął szybko. Wkrótce spadł pierwszy śnieg. Radość dla dzieci – utrapienie dla dorosłych. W wigilię Bożego Narodzenia, po śniadaniu, Franek zastukał w szybę kuchennego okna mieszkania Berkowiców. Sara, która krzątała się w kuchni, aż podskoczyła ze strachu, a kiedy zobaczyła kolegę brata, pogroziła mu pięścią, uśmiechając się jednocześnie.

– Jest Dawid? – spytał Franek.

Kiwnęła głową. Potem wyszła.



Po chwili na podwórzu pojawił się Dawid.

– Idziesz ze mną na łyżwy?

– Nie mam i nie umiem jeździć.

– To nic. Pójdziemy do Zenka. U niego są dwie pary. W zeszłym roku zrobiliśmy.

– Sami zrobiliście?

– Tak, takie kopicianki. Bierze sie kawałek drewna, robi dziury z boku na sznurki i jeszcze z przodu jedna, i z tyłu – na drut. Najlepszy jest z rączki od metalowego wiadra. Awantura była o to w ubiegłym roku. Dostałem troche w skóre, bo popsułem wiadro, ale za to jaka była jazda!

Chłopcy doszli do domu Pejgów.



*Wesele Józefa Pejgi z Mironą Frezewitte – 10.04.1939 r. Po lewej panny młodej – Karolina Pejga z mężem Józefem. Po prawej pana młodego – Bolesław Frezewitte. Po prawej na zdjęciu – Helena Pejga z bratem.*

– Pewnie jest u ojca w piekarni... Ale ruch tu dzisiaj – odsunęli się, kiedy wyjeżdżał wóz wyładowany po brzegi wiklinowymi

koszami pełnymi świeżego, pachnącego przypieczoną skórką, pieczywa.

W piekarni było ciepło i przytulnie. Zapach świeżo upieczonego chleba roznosił się po całym pomieszczeniu. Na szerokim blacie piekarz zagniatał ciasto. Przewracał i gniótł, podnosił i uderzał o blat, potem sypał mąką, żeby się nie przyklejało i powtarzał poprzednie czynności. Pomocnik piekarza ważył kawałki ciasta, po dwa kilo każdy. Formował na kształt bochenków, smarował kurzym białkiem i podawał do drugiego piekarza, który na długiej łopacie wsuwał je do rozgrzanego pieca. Co chwilę zaglądał i sprawdzał poprzednie wsady. Wkrótce, świeżo upieczone bochenki lądowały na metalowym blacie długiego stołu.

Zenek siedział na stołku pod ścianą i odpoczywał.

– A ty, co tak plincujesz[36]? – spytał Franek. – Wstawaj, idziemy na łyżwy.

– Nie mogę. Mam dużo roboty. Święta przecież.

– U mnie też szykują, ale mama i siostry. Ja tylko drzewko wczoraj od babci z lasu przyniosłem. Już ubrane. Troche zabawek i łańcuchów, troche świeczek. Jeszcze, jak upieką ciastka, to je Kaśka powiesi. Ona to najbardziej lubi choinke ubierać – uśmiechnął się Franek.

– Dzisiaj mam dużo roboty – odpowiedział Zenek. – Dopiero co pomagałem ładować pieczywo na wóz, żeby rozwieźli do sklepów, a co chwilę ludzie przychodzą i przynoszą ciasto, żeby je w piecu upiec. Pilnuję, żeby każda blacha była podpisana, bo później kłócą się, która jest czyja.

– A choinke już macie? – spytał Franek.

– Po południu dziewczyny ubiorą. Teraz tam w kuchni szykowania...

– Jak wszędzie – Zenek machnął ręką.

– Nie wszędzie – wtrącił Dawid.

[36] *Plincujesz – potocznie schować się – (chowasz się).*



– No, tak. Wy nie macie wigilii. Nie wiesz, co tracisz.

– Mieliśmy niedawno Chanukę[37] – odpowiedział Dawid.

– Wy swoje, my swoje, i tak bym się nie zamienił za makiełki mamy. Prawda, Franek?

– Pewnie! Takiego karpika, jak moja mama smaży na maśle, to nigdzie nie ma. Albo takiej kapusty z grochem, albo zupy na suszonych grzybach, czy... mniam, palce lizać, aż zgłodniałem. No dobra. Nie idziesz, to dawaj łyżwy, kiedy indziej razem pojeździmy.

Zima była długa i mroźna. Śniegu napadało tak dużo, że chodziło się w Rynku i po ulicach, jakby korytarzami, a kiedy przygrzało wiosenne słońce, zrobiły się takie roztopy, że znowu nie można było przejść suchą nogą. Najgorzej było w bocznych, rzadziej uczęszczanych uliczkach i na drogach wiejskich. Tam prowadzono prace remontowe – kopano rowy odprowadzające nadmiar wody i remontowano nawierzchnie ulic. Mimo wielu problemów życie w Zelowie toczyło się swoim rytmem. Każdy robił, co mógł, aby zapewnić swojej rodzinie podstawowe potrzeby.

Nie były to łatwe czasy. Kryzys nie dotknął co prawda osady, tak jak to miało miejsce w sąsiednich rejonach, ale nie brakowało ludzi biednych, którzy często do garnka nie mieli co włożyć. Szukali więc zarobku, pracując od świtu do nocy na lichych krosnach, czasem wstawionych do jednej tylko posiadanej przez nich izby. Ręce były wprawione do ciężkiej pracy, mimo to, bolały i mdlały, a plecy i nogi odmawiały posłuszeństwa. „Na chleb, na sól" – powtarzali półgłosem chałupnicy, wykonując jednostajne ruchy raz prawą, raz lewą ręką. Nawet ci, którzy pracowali w lokalnych przedsiębiorstwach, nie zawsze mieli pełną zapłatę.

[37] *Chanuka – święto żydowskie trwające osiem dni, poczynając od 25 dnia miesiąca kislew. Upamiętnia ono cudowne wydarzenie zaszłe podczas powstania Machabeuszów pod wodzą Judy Machabeusza.*



*Prace remontowe na ulicy Kilińskiego w Zelowie. 1937 rok.*

Bywało, że dostawali ją dopiero po sprzedaniu całości wyprodukowanych przez nich materiałów, albo wypłacano im część kwoty, a resztę mogli uzyskać w formie gotowego towaru w sklepie właściciela, u którego byli zatrudnieni. Ludzie szukali pracy, której nie było ani w mieście, ani na wsi. Zdarzało się, że domagali się jej i chleba, organizując demonstracje i wiece.

Pomoc dla głodujących bezrobotnych była niewielka, zaledwie ziemniaki do podziału i niewielkie, jak na potrzeby, środki finansowe. Chodzili więc na służbę do bogatszych gospodarzy za wyżywienie i kąt do spania. Żyli jednak nadzieją, że będzie lepiej. Żyli uczciwie i z pokorą dla Stwórcy. Żyli, starając się wspólnie przezwyciężać przeciwności losu. Budowali kościoły. Rozwijali przemysł i handel. Wspólnie uczyli się, bawili się i obchodzili święta religijne i państwowe, podtrzymując jednocześnie swoje tradycje, obrzędy świeckie i religijne.



## Bar Micwa

Pod koniec roku szkolnego w chederze rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do uroczystości Bar Micwa. Ośmiu chłopców kończyło trzynasty rok życia. To odpowiedni wiek, aby przestrzegać przykazań i stać się pełnoprawnym członkiem minjanu[38]. Przepytywali ich jeszcze i pouczali, a niejeden rózgą dostał za złą odpowiedź na pytanie belfra. Dawid nigdy nie miał problemów z nauką, czuł się więc przygotowany od strony posiadanej wiedzy i gotowy od strony duchowej do uczestniczenia w ważnych ceremoniach religijnych.

– Staniecie się jednymi z nas, ale jest to także obowiązek studiowania Tory przez całe życie – mówił nauczyciel. – Pamiętajcie także o nauce innych przedmiotów: „Kto ma łeb – ten ma sklep, kto nie ma szkoły – ten kopie doły" – dodał swoje ulubione powiedzenie.

Wkrótce w bóżnicy rabin odprawił nabożeństwo. Błogosławił i pouczał młodych ludzi o ich prawach i obowiązkach wobec Boga i wobec innych wyznawców religii mojżeszowej.

– Życie każdej żydowskiej gminy to przede wszystkim zasady wynikające z tej religii i ich przestrzeganie – mówił. – Dotyczą one zapewnienia członkom naszej społeczności koszernej żywności[39], odbywania modlitw, umożliwienia wypełniania micwot[40] i innych nakazanych zachowań. Każdy z chłopców po kolei przeczytał fragment Tory i wygłosił błogosławieństwo.

Po uroczystości w domu Berkowiców odbyło się radosne przyjęcie. Ze Strzyżewic i Szczercowa przyjechała rodzina Racheli i Salomona. Wszyscy tańczyli i śpiewali. Zachwalali przy-

[38] *Minjan – kworum modlitewne wynoszące dziesięciu mężczyzn powyżej 13. r. ż.*
[39] *Koszerna – określająca reguły produktów właściwych do spożycia przez Żydów oraz warunki, w jakich powinny być produkowane i spożywane.*
[40] *Micwot – liczba mnoga od micwa (przykazanie, obowiązek).*

gotowane przez gospodynię potrawy i wypieki. Szczególnie specjalność pani domu – pieczoną gęś z farfelkami oraz strudel i ciasteczka z suszonymi owocami. Dawid siedział przy stole na honorowym miejscu. Po raz pierwszy czuł się, jak ktoś dorosły i ważny. Rozumiał, że Bóg zawarł z ludem Izraela wieczyste przymierze, obiecując ochronę i pomoc w zamian za podporządkowanie się jego nakazom. Rozumiał, że stał się pełnoprawnym członkiem tej społeczności. Społeczności, która istnieje od kilku tysięcy lat.

***

Życie rodziny Berkowiców nabrało już tempa. Przyzwyczaili się do nowego otoczenia. Poznali nowych sąsiadów, którzy w większości byli im przychylni i pozytywnie o nich mówili: „to dobrzy ludzie" – można było usłyszeć. „Dobry człowiek z tego Salomona, uczciwy, można się z nim potargować i zna swój fach" – dodawali inni. „Nie bierze tak drogo, a nawet opuści, jak wie, że bieda. Aż dziw, jak na Żyda".

Także między pobratymcami Salomon zyskiwał z dnia, na dzień.

– Spytałem go wczoraj o rada.

– I co un na to?

– Dał mi taka dobra rada, że lepszej nie trzeba. To mundry człowiek tyn Salomon i jego Rachela tyż. Oby wincej takich w nasz kahał[41] było.

Mijał dzień za dniem. Niby podobne do siebie, ale kiedy przyjrzeć się bliżej, każdy z nich przynosił jakieś zmiany. Każdego dnia można było usłyszeć jakieś nowiny, plotki, ploteczki w których zawsze można było znaleźć część prawdy.

[41] *Kahał – forma organizacji społeczności żydowskiej, zgromadzenie, gmina.*



To ktoś umarł, to się narodził, to znowu w fabryce wypadek był, ktoś się wyprowadził, a komuś zupa się przypaliła. Takie i inne wiadomości można było usłyszeć na podwórku, w sklepie i od sąsiadek w kamienicy. Osobą najlepiej obeznaną w tych sprawach była sąsiadka Berkowiców – Rywka. Kiedy weszła do Racheli, rozsiadła się w kuchni przy piecu i zaczęła głośno i szybko opowiadać.

– Patrz Rachela, jakie te une są! Przedali mnie dwa jajka nie koszerne! Dwa! Na osim jaj. Une tylko patrzą, co by żydówke oszukać, bo myślą, co już my takie głupie. A Icek to gadał, że nawet jednego chłopaka jedyn goj namawiał, co by bez płot hulnył i położył kiszka u Abrama Uderbauma na stole. Na koszernym stole! Patrz Rachela, jakie une są. A twój Dawid, to tyż z gojami przestaje.

Tu Rachela nie wytrzymała.

– A sąsiadce, co do tego, z kim przestaje? On ma takiego kolegę, jakiego sam wybiera. Widocznie on nie jest taki zły, co go na przyjaciela wybrał. Lepiej niech Rywka powie, co tam dzisiaj na obiad robi i czy będzie ten ślub córki Siwka, co to Rywka mówiła, że się ma do Moszka Rozenbluma.

– Ano, mo sie, mo. Zakochana po same uszy, bo i partia dobra. Urokliwy on i gotówke w banku mo. Wesele bedzie za niedługo. A wasze Sarcie tyż niczego sobie. A mo tam kogo?

– Aj, aj. Nie ma jeszcze, ale pewno to wy wiecie, bo pierwsza do tego jesteśta.

Plotki przerwała głośna dyskusja na podwórku.

– Aj! Waj! Aj Waj! Taki pan, taki bogacz.

Grupa Żydów stojących za oknem narzekała, kiwając się i szarpiąc za ubranie.

Rachela otworzyła okno.

– Co tam się dzieje? – spytała dwóch sąsiadek, które przyglądały się zajściu.

– Jakub Lewi zmarł – odpowiedziała jedna z nich.

– W zeszłym roku córkę żenił. Tyle ludzi zatrudniał w swojej fabryce, taki majątek, a nie wywinął się śmierci.

– A no, pani. Na każdego z nas koniec przyjdzie – odpowiedziała druga.

Przeżegnały się i odeszły.

– Jednego dnia wesele, a drugiego żałoba. Takie jest życie – powiedziała Rachela, zamykając okno.

– Dobre mioł życie. Pracowity un był i bogacz. I szacunek mioł i rodzine – wymieniła Rywka.

Zamyśliła się, a po chwili, patrząc daleko przed siebie dodała:

– Nu, rodzina ważna jest.

– Tak! – tym razem Rachela zgodziła się ze zdaniem sąsiadki.
– Trzeba pomóc w biedzie każdemu, a zwłaszcza rodzinie.

Ja sąsiadko pochodzę ze Szczercowa. Tam jeszcze dwie moje siostry z dziećmi mieszkają i szwagier. Jeden, bo drugi zmarł. Długo chorował i choróbsko jego zmogło. Moja mame i tate też już nie żyją. Siostry myślą do Zelowa, do nas, do swoich, tam im ciężko. Myślą, że tu łatwiej będzie. Zamyśliła się, ale po chwili dodała: – Siostry pójdą na dziewiarkę, pończochy i skarpety zawsze potrzebne, a dzieciaki będą cucki[42] zbierały i nawijały przędzę. Szwagier jest szewcem, to u nas lepszy będzie miał interes. Już mój Salomon chodził i pytał, gdzie by tu jaki kąt dla nich i tak wychodzi, że u Gliksmana, tu niedaleko, na Kościuszki. On też szewc, ale już stary, to pomocnik mu się nada.

– Gliksman? – Rywka zastanowiła się chwilę. Ten koło „białej szkoły"[43]?

– Ten sam. Syna ma tylko jednego i same dziewczyny – odpowiedziała Rachela.

– Tak, stary, ale chałupe sporą ma i niezgorzej sie jemu wiedzie. To, kiedy to sumsiadko une przyjadą?

[42] *Cucki – poplątane resztki przędzy.*
[43] *„biała szkoła" – zwana tak od koloru budynku, w którym funkcjonowała.*



– Chyba pod zimę, jak mówili. Tu obgadane. Kiedy będą chcieli, to mogą.

– Ide – Rywka wstała z krzesła i skierowała się w stronę drzwi.
– Dzieciakom obiad musze nagotować.

– Idź Rywka, idź. Dzieci głodne pewnie – Rachela delikatnie namawiała sąsiadkę w nadziei na odrobinę spokoju w domu.

Po jej wyjściu do izby wbiegła Sara.

– Mame, mame! Już jestem.

– Gdzie ty przepadłaś? Zaraz obiad, a ta przyszła i gada, i gada.

– Kto? Mame.

– Rywka! Ale już poszła dzieciom obiad gotować.

– A! Nasza sąsiadka. Stoi przy schodach i z Wróblewską gada.

– No, widzisz – Rachela uśmiechnęła się. – Trafiła się jej druga do słuchania. Tylko dzieci szkoda.

## Szkoła

Ze względu na brak odpowiedniej do potrzeb szkoły placówki, Publiczna Szkoła Powszechna nr 2 mieściła się w prywatnych domach. W budynku, przy ulicy Kościuszki 85 - szkoła ta zwana była „czerwoną" od czerwonej cegły, z której była zbudowana i w budynku, przy ulicy Szkolnej 5 – zwana była szkołą „U Jelinka". Tam właśnie chodził Franek i Zenek. W obu tych budynkach w godzinach popołudniowych uczyły się najmłodsze dzieci, a do południa końcowe roczniki Szkoły Powszechnej. Klasy III i IV miały zajęcia w domu, przy ulicy Żeromskiego – „U Sacheja". Dzieci korzystały też z pomieszczeń domu, przy Kościuszki 84, gdzie był sekretariat szkoły i mieszkanie kierownika.

Uczniowie uczęszczający do tej szkoły byli wszystkich nacji zamieszkujących Zelów i okolicę, a nauczyciele tam uczący byli wyznania katolickiego, ewangelicko-reformowanego, ewangelicko-augsburskiego oraz judaizmu.

Henryk Wyrąbkiewicz, kierownik szkoły, dokładał wszelkich starań, aby mieli należyte warunki do nauki. Stan finansów gminy nie pozwalał jednak na zbyt wiele. Dlatego to, co uczniowie otrzymywali, można było określić mianem „przyzwoite".



*Lekcja ćwiczeń cielesnych. Z lewej nauczycielka Kiełczyńska.*

„Bóg. Honor. Ojczyzna". Wielkie, drukowane litery zawieszone w widocznym miejscu wskazywały cele wychowania i nauczania w szkole. Wszyscy mówili i uczyli się w języku polskim. Nauczanie poszczególnych przedmiotów odbywało się zgodnie z wytycznymi ustalonymi przez państwo polskie, a zajęcia rozpoczynały się wspólną modlitwą. Każdy na swój sposób mógł pomodlić się do Boga:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego"

„Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka była dla nas pożytkiem doczesnym i wiecznym. Przez Jezusa Chrystusa. Amen".

A po lekcjach wspólnie dziękowali Bogu:

„Dzięki ci Boże, za światłość tej nauki. Pragniemy, abyśmy nią oświeceni mogli się rozwijać, zawsze Cię wielbić i wolę Twoją wypełniać" – mówili głośno wszyscy uczniowie.

„Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen" – nie mówili Żydzi.

„Maryjo Królowo Polski módl się za nami" – nie wypowiadali



Żydzi, Czesi i Niemcy. Dzieci wyznania mojżeszowego i ewangelickiego nie czyniły także znaku krzyża.



*Zelowscy nauczyciele z uczniami. Od lewej: W. Łukaszewicz, W. Wyrąbkiewicz, H. Wyrąbkiewicz, ks. Kazimierz Rusin , W. Uzdowski, M. Rybak, F. Rybak, H. Jodkówna, E. Freund, J. Zdziechowski z córką.*

Już na początku roku wychowawcy zapowiedzieli, że nie będą tolerowane żadne formy nieposłuszeństwa, a tych, którzy nie dostosują się do ogólnie przestrzeganych zasad, spotkają odpowiednie kary, jak: oberwanie drewnianym piórnikiem po ręce, klęczenie na grochu, czy wezwanie rodziców, a w ostateczności relegowanie ze szkoły.

Franek i Zenek chodzili do siódmej klasy. Siedzieli razem w ławce. Uczyli się dobrze, tylko Franek był lepszy z ćwiczeń cielesnych, a Zenek z arytmetyki z geometrią. Języka czeskiego, jako nadobowiązkowego, uczył Zenka Jarosław Fibich, a religii – duchowny z parafii ewangelickiej. Frekwencja na początku roku szkolnego nie była wysoka. Dzieci z biedniejszych rodzin poma-

gały rodzicom w polu przy wykopkach lub w domu, przy krosnach. Wstawały skoro świt i nawijały przędzę na cewki. Tyle, żeby starczyło na cały dzień tkania. Sprzedawały na rynku kwiaty, warzywa, owoce. Do szkoły przychodziły dopiero po wykonaniu obowiązków, jakie miały do spełnienia.

Dawid poszedł do nowej szkoły, do szóstej klasy. Teraz częściej widywał się z przyjaciółmi. W porównaniu do poprzedniej szkoły, warunki nauczania były tu lepsze. Szersze grono pedagogiczne umożliwiało mu lepsze przyswajanie wiedzy. Polubił zwłaszcza panią Alinę Kuperwasser, która uczyła języka polskiego. Chętnie też brał udział w szkolnych przedstawieniach teatralnych, a ogólne wyniki jego pracy w pierwszym okresie uczęszczania do nowej szkoły były na tyle dobre, że postrzegano go, jako jednego z lepszych uczniów w szkole. Recytacja wiersza Juliana Tuwima – „Rzecz czarnoleska", którą wygłosił w czasie akademii szkolnej zachwyciła nie tylko polonistkę, ale całe grono pedagogiczne. Język polski był więc jego ulubionym przedmiotem.

Punktualnie o ósmej rano stary woźny z długimi siwymi wąsami, w długim fartuchu i okularach w rogowej oprawie oznajmił wielkim, ręcznym dzwonkiem, że czas już do klas.

Biegli więc uczniowie, aby zająć swoje miejsca. Ścigając się, hałasowali i wywracali się. Dawid siedział już w swojej ławce, ale panował jeszcze ogólny zamęt, krzyki i obrzucanie się kulkami z papieru. Kiedy nauczycielka weszła do klasy, zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

– Dzień dobry, dzieci!

– Dzień dobry, pani! – odpowiedziały chórem.

– Proszę wstać. Pomodlimy się.

Rozbrzmiała wspólna modlitwa. Następnie głos zabrała polonistka.

– W związku ze zbliżającym się Świętem Zmarłych dzisiaj na lekcji omówimy fragment trenu Jana Kochanowskiego, rozpoczynający się od słów: „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim, moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim!"

W tym momencie drzwi otworzyły się i do klasy wbiegło dwóch rozgadanych chłopców.

– A co to znaczy? – spytała groźnie nauczycielka.

Chłopcy stanęli, jak wryci.

– Przepraszamy – bąknął jeden z nich – myśleliśmy, że jeszcze jest przerwa.

– Tak, będziecie mieli przerwę. Piętnaście minut pod tablicą. Na grochu pomyślicie o ważnej cnocie, którą każdy człowiek powinien posiadać. Jaka to cnota? – nauczycielka zwróciła się z tym pytaniem do całej klasy.

– Punktualność, proszę pani – odpowiedziały chórem dzieci wiedząc doskonale, że pani Kuperwasser bardzo nie lubi, spóźniania się na zajęcia.

Nie lubiła też, żeby przeszkadzać jej w prowadzeniu lekcji, ale była ogólnie lubiana i szanowana za posiadaną wiedzę, którą potrafiła w prosty sposób przekazać oraz za równe i sprawiedliwe traktowanie wszystkich swoich podopiecznych. Często śmiała się i żartowała, a podczas wyjazdów na wycieczki była tą, którą dzieci wybierały na opiekunkę.

– Tak więc, omówimy dzisiaj tren Jana z Czarnolasu – kontynuowała przerwaną lekcję, ale kiedy drzwi otworzyły się ponownie zirytowana spojrzała w stronę intruza.

Do klasy weszła znacznych rozmiarów kobieta. Była niechlujnie ubrana i miała potargane włosy. Już od progu zaczęła mówić grubym, chrypliwym głosem.

– Pani!

– Słucham – grzecznie odpowiedziała pani Kuperwasser.

– Pani! Dominisia dzisiaj nie przyjdzie, bo dostała sraczki po pomidorkach.

Klasa w śmiech, a nauczycielka starając się zachować powagę, odpowiedziała.

– Dziękuję za poinformowanie mnie o tym jakże ważnym wydarzeniu. Rozumiem, że chciała pani usprawiedliwić córkę?

– No! – potwierdziła głośno mama chorej uczennicy. – No, to idę już – dodała i wyszła.

– Starczy tego śmiechu – nauczycielka z uśmiechem na twarzy zwróciła się w stronę uczniów. – Może teraz uda nam się zająć tematem naszej lekcji.

Tym razem zajęcia przebiegły bez zakłóceń, a kiedy rozległ się dzwonek na pauzę, nauczycielka dodała.

– Na zakończenie chciałabym przypomnieć, że od listopada będzie rozdawany tran, w związku z czym trzeba przynosić swoją łyżkę do szkoły. Na dzisiaj koniec. Do widzenia.

Na początku listopada, podczas apelu, ogłoszono, że tuż przed Świętem Niepodległości wszystkie klasy pójdą na wycieczkę do zelowskiej elektrowni oraz, że w tym dniu innych lekcji nie będzie. Wiadomość ta, zwłaszcza jej druga część, niezmiernie ucieszyła uczniów. W wyznaczonym terminie poszczególne klasy wraz ze swoimi opiekunami udały się na ulicę Poznańską. Po elektrowni oprowadził dzieci Edmund Ulman i Władysław Rozpędski. Opowiedzieli im, jak to się dzieje, że żarówki świecą, a prąd płynie do ich mieszkań po drutach. Wyjaśnili, że dzięki elektrowni prąd dociera do fabryk, szkół, urzędów i instytucji. Pan Ulman wspomniał o postępie technicznym i przyszłości, w której w każdym domu będzie światło i urządzenia na prąd.

– Budowę zelowskiej elektrowni i stojącej obok rzeźni rozpoczęto 10 sierpnia 1930 roku. Kosztem gminy, dla użytku publicznego – kontynuował. – Kamień węgielny wmurowano podczas wielkiej uroczystości, jaka odbyła się przy udziale nie tylko władz gminy Zelów, ale także przedstawicieli Starostwa Powiatowego w Łasku oraz licznie zgromadzonych obywateli Zelowa i okolic.




UROCZYSTY AKT POŚWIĘCENIA

NA WIECZNĄ RZECZY PAMIĄTKĘ

*Akt poświęcenia pod budowę zelowskiej rzeźni i elektrowni – str. 1*



*Akt poświęcenia pod budowę zelowskiej rzeźni i elektrowni – str. 2*



Zenek, słuchał z otwartymi ustami. Po wyjściu z budynku, zwrócił się do Franka:

– Mówiłem ci kiedyś... Ja to będę robił takie urządzenia, co właśnie na prąd będą. Wszystko będzie na prąd: i żelazka, i prać się będzie nie na tarze, i światło będzie cały dzień. Tata mówił, że niedługo kupimy sobie radio i też oczywiście na prąd będzie.

– Wołałbym rower, niż radio i też sobie kiedyś kupię, jak zarobię, to kupię – odpowiedział Franek.

Rozmowę chłopców przerwał wychowawca klasy, pan Władysław Łukaszewicz – „człowiek bez nerw", jak o nim mówili.

– Na jutro proszę wszystkich o napisanie krótkiego wypracowania na temat dzisiejszej wycieczki oraz opisanie swojej wizji przyszłości, co do rozwoju elektryfikacji.

– Napiszę takie wypracowanie, że... powiedział Frankowi do ucha Zenek. – Na piątkę – dodał.

Nauczyciel wskazał jeszcze na budynek, stojący obok elektrowni.

– Tego budynku nie będziemy zwiedzać, ale jak tu już jesteśmy, warto wspomnieć, że jest to bardzo nowoczesna rzeźnia.

– Łiii, łiii!, łiii!!! – dało się słyszeć udawany przez jednego z uczniów głos świni.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale kiedy nauczyciel spojrzał na nich, udając groźną minę, natychmiast umilkli. Tymczasem pan Łukaszewicz mówił dalej:

– Cech Rzeźników i Wędliniarzy założono w Zelowie w 1920. A to jest – jak już mówiłem – rzeźnia, w której oni pracują. Podzielona jest na dwie części. W tej części – wskazał na wejście od strony zachodniej – odbywa się zwykły ubój i przerób mięsa. Druga jej połowa przeznaczona jest na ubój rytualny. Ta część wykorzystywana jest przez Żydów. Ubój rytualny lub religijny, to część religii i tradycji judaistycznej. Wszystko odbywa się tu według ściśle przestrzeganych reguł. Zwierzęta muszą być najpierw pozbawione krwi przy pomocy specjalnych noży odpowiednich do wielkości zwierzęcia. Nie mogą być wcześniej ogłuszone.




*Metalowa tabliczka upamiętniająca założycieli cechu*

Dokonują tego ludzie, którzy zdali specjalny egzamin i mają zezwolenie rabina. Nazywani są oni rzezakami. Mięso pozbawione krwi jest koszerne i nadaje się według tej religii do spożycia. Ubój drobiu dokonywany jest przy ulicy Kościuszki, koło bóżnicy. Na pewno widzieliście, bo jak się tam przechodzi, to nieraz widać, jak to robią na podwórku. To właściwie tyle.

– Czy są jakieś pytania?

Zenek podniósł rękę.

– Słucham cię Zenku. O co chciałbyś spytać?

– Bo ja, proszę pana, mieszkam tam naprzeciw – na Kościuszki, to nieraz widzę, jak zabijają kurczaki, ale czasami, to oni wynajmują sobie kogoś do tej roboty i to nie tylko Żydów. I oni nieraz specjalnie tak tną nożem, żeby nie zabić za jednym cięciem, a wtedy to kurczak nie jest koszerny i mogą go sobie zabrać do domu, bo Żyd już go nie dotknie.



– To cwaniaki! – dodał ktoś z grupy.

Klasa znowu się roześmiała. Nauczyciel także się uśmiechnął.

– Może czasem się tak zdarza, ale zasady są takie, jak wam powiedziałem. Jak nie ma więcej pytań, to rozchodzimy się do domów i do zobaczenia jutro w szkole.



*Zelowska rzeźnia. Z prawej strony widoczna rampa dla zwierząt.*

***

Dzień 12 maja 1935 roku był jednym z najsmutniejszych dni dla wielu milionów Polaków. Śmierć ukochanego Marszałka i wodza, Józefa Piłsudskiego, okryła żałobą cały kraj. Odszedł twórca Legionów Polskich, Naczelnik Państwa Polskiego, współautor odzyskania przez Polskę niepodległości i bohater wojny polsko-ruskiej.

„Marszałku! To nieprawda, że ciebie już nie ma, to nieprawda, że leżysz już w grobie, chociaż płacze dzisiaj cała polska ziemia, cała polska ziemia w żałobie. Choć twe serce już więcej nie bije, choć opuścił już ciebie duch dzielny, w naszych sercach, jak żyłeś, tak żyjesz, ukochany wodzu nieśmiertelny…".

Tak brzmiały słowa piosenki, którą śpiewano w szkołach podczas uroczystości związanych z tym tragicznym wydarzeniem. Każdy polski dom, każdy patriota, każde dziecko w szkole, nosiło znak żałoby – chłopcy czarną opaskę na ramieniu, dziewczynki czarną wstążkę we włosach.

Koledzy wracali po szkolnej akademii do domu. Szli w milczeniu. W tym dniu nie było lekcji, ale nie cieszyli się z tego. Nastrój smutku, jaki panował w szkole i na ulicach przyczyniał się do zadumy i refleksji. Dopiero po kilku minutach Franek nie wytrzymał i przerwał ciszę.

– No! Czas wracać do rzeczywistości. Chłopaki! Na te niedziele, ja i moi rodzice też, no… zapraszam was na obiad do mnie, do domu. Będzie koniec szkoły niedługo i w ogóle…

– Co to znaczy w ogóle? – spytał Zenek.

– W ogóle… to znaczy… – Franek uśmiechnął się do siebie, nie wiedząc, jak wytłumaczyć, o co mu chodzi. – W ogóle… to cieszę się, że mam takich przyjaciół – wydusił z siebie.

Chłopcy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, bo nie spodziewali się takiego wyznania i chociaż czuli to samo, to jednak takie słowa z ust Franka? Nigdy nie był taki wylewny? Coś się za tym kryje.

– Dziękujemy – odpowiedział grzecznie Dawid.



## Urodziny Franka

Zenek spotkał się z Dawidem w bramie kamienicy, w której mieszkał Franek.

– Byłeś już kiedyś u niego? – spytał Dawid.

– W mieszkaniu? Z raz, czy dwa. Fajnych ma rodziców. Bardzo miłych. Pan Ignacy jest majstrem na budowie, to rzadko jest w domu, ale pani Szkudlarkowa, to zawsze jakimiś słodyczami poczęstuje.

Szli po stromych schodach, rozmawiając głośno.

– No, tu jakby ktoś się poślizgnął, to się na pewno połamie – zauważył Dawid.

– Tak. W sąsiedniej kamienicy to są jeszcze gorsze. Podobno kiedyś taki starszy pan spadł tam i zabił się na śmierć.

Po chwili Zenek zapukał do drzwi. Otworzył im Franek.

Do wchodzących podbiegły natychmiast jego siostry – Krysia i Rózia.

– Goście przyszli, mamo! Goście!

– Cicho dziewczyny, bo wam uszy poobrywam – Franek zrobił groźną minę, ale na maluchach nie sprawiło to najmniejszego wrażenia – rozbiegły się i krzyczały dalej.

– Cicho dzieci – powiedziała pani Szkudlarkowa, wychodząc z kuchni. – Nieładnie tak hałasować.

– Mamo! Mamo! To Zenek i Dawid!

– Dobrze, dobrze, ale prosiłam, uciszcie się. Ignacy, powiedz im coś – pani Teresa poprosiła męża o pomoc.

Pan Szkudlarek – wysoki, barczysty mężczyzna wyszedł z pokoju.

– Proszę o spokój! Jest niedziela i mamy gości – powiedział spokojnym, ale stanowczym głosem.

Dzieci zamilkły i podbiegły do ojca.

– Tato, tato! Pójdziemy później na lody?

– Pójdziemy po obiedzie, a teraz myć ręce i siadać do stołu.

– No, nareszcie trochę spokoju – odetchnęła z ulgą gospodyni.

Pani Teresa i jej najstarsza córka Kasia podawały do stołu i pilnowały, aby nikomu niczego nie brakowało. Obiad upłynął w miłej, serdecznej atmosferze. Rosół, młode kartofle ze szczypiorkiem i mięsem z kury oraz sałata z maślanką i ciasto drożdżowe, na deser.

– Wspaniały obiad – podziękował Dawid.

– Tak – dodał Zenek – paluszki lizać, pani Szkudlarkowa.

– Dziękuję. Dziękuję. Cieszę się, że wam smakowało.

Rozmowa toczyła się o szkole, o wakacjach, aż zeszła na temat pracy. Pan Ignacy powiedział kilka słów o szybko upływającym czasie i przyszłości, która dla każdego z nas stanowi wielką niewiadomą. O tym, że kiedy on był w ich wieku, też nie chciało mu się myśleć o niczym innym, niż wakacje, ale teraz wie, że w życiu trzeba mieć dobry zawód, a dzięki ciężkiej pracy można wiele osiągnąć i założyć rodzinę, a może nawet kupić samochód.

Po obiedzie pani Szkudlarkowa przyniosła cukierki.

– Poczęstuj kolegów. W końcu to twoje urodziny.

– Wiedziałem! – krzyknął Zenek i puknął się ręką w czoło.

– Wszystkiego najlepszego – Dawid podał jubilatowi rękę.

– Tak. Wszystkiego najlepszego – Zenek przyłączył się do życzeń.

– Wyjdziemy jeszcze mamo – powiedział Franek, wstając od stołu.

– Tylko nie wracaj późno. Jutro jeszcze szkoła.

Trzej przyjaciele wyszli na podwórze, na którym jak co dzień w tak ładną pogodę, było gwarno i wesoło. Okrzyki dzieci bawiących się w piaskownicy mieszały się ze szczekaniem psów. W cieniu na ławeczkach siedzieli starsi mieszkańcy obu kamienic, rozmawiając o minionych i obecnych czasach. Tematem przewodnim była oczywiście polityka, ale nie brakowało też plotek i ploteczek o codziennym życiu zelowian. Chłopcy rozejrzeli się wokół.



– To, co robimy? – spytał Dawid.

– Przepraszam, że nie mamy dla ciebie prezentu. Zupełnie wyszło mi z głowy, że to na urodziny ten obiad – tłumaczył się Zenek – ale nic straconego, coś wam pokażę – tylko wieczorem. – To będzie dopiero prezent. A teraz połazimy trochę, bo za wcześnie.

– Co i gdzie? – spytał Dawid.

– Zobaczysz. Trochę cierpliwości.

Wychodząc z podwórka usłyszeli płacz dziecka. W kącie przy komórkach, w małym zakamarku, siedział przytulony do ściany, dziesięcioletni Boguś. Znali go dobrze. Mieszkał u nich w kamienicy. Chłopiec urodził się z chorymi nogami i nie chodził. Przemieszczał się, podpierając z obydwu stron rękami i przesuwając całe ciało do przodu. Nie mówił wyraźnie, ale można było się z nim porozumieć. Franek wielokrotnie pomagał mu pokonać trudności związane z wyjściem na podwórze i lubił małego, który śmiał się z jego żartów i wygłupów.

– Boguś! Co sie stało? – Franek nachylił się nad płaczącym dzieckiem.

Chłopak spojrzał w górę, a kiedy zobaczył znajomą twarz, przetarł oczy brudnymi rękami i pociągając nosem, powiedział:

– Bo, bo… bo on mnie udezył.

– Kto cie uderzył?

– No, no… Janet mnie udezył. W głowe mnie udezył i, i… sie pzewróciłem, i udezyłem sie tu – pokazał rozciętą i zapuchniętą wargę. – A, a… potem mnie ciondnoł za włosy i tazał, zebym sie wynosił, a ja chciałem patzeć, jat dlają w piłte.

Franek aż podskoczył ze zdenerwowania. Spojrzał na grupę chłopców, grających nieco dalej w piłkę. Wyszukał wzrokiem Janka, najstarszego chłopca w grupie i wystartował w jego kierunku tak szybko, że koledzy nie byli w stanie go powstrzymać. Dobiegł do niego i chwycił go oburącz za koszulę. Potem przewrócił go na ziemię. Usiadł okrakiem na jego klatce piersiowej i mocno przycisnął.

– Co ci odbiło? – wydusił z siebie zdezorientowany chłopak, próbując jednocześnie wydostać się z uścisku napastnika.

Wił się, to w prawo, to w lewo, wierzgał nogami i podskakiwał, ale Franek trzymał mocno. Wokół nich natychmiast zgromadzili się świadkowie zajścia i dopingowali. Franek odezwał się dopiero, gdy Janek po kilku nieudanych próbach wyswobodzenia się dał za wygraną i zasapany wrzasnął.

– O co ci chodzi? Co ci odbiło, gnoju?

– Gnoju? – wycedził przez zęby równie zdyszany Franek. – Ja gnój? To ty jesteś gnój! I śmierdziel! Jak jeszcze raz uderzysz Bogusia, to mnie popamiętasz!

– To czego się plącze między nogami? Sam się przewrócił.

– Tyś go popchnął! A jak nie pozwolisz mu patrzeć jak gracie, to ja na twoich zębach zagram!

Janek jeszcze raz spróbował wydostać się spod siedzącego na nim Franka. W końcu wyczerpany i ledwie łapiąc oddech, dodał.

– Pecha nam przynosi.

– Pecha? – Franek odpowiedział pytaniem. – Rzeczywiście masz pecha, bo na mnie trafiłeś. Pamiętaj, że nawet jak go komar ugryzie, to ty za to odpowiesz.

– Odczep się.

– Nie zrozumiałeś jeszcze? – przycisnął mu skrzyżowane ręce pod szyją.

– Zro... Zro... zumiałem – wydusił z siebie.

Franek powoli rozluźnił uścisk, puścił swoją ofiarę i wstał. Gromadka gapiów rozstąpiła się. Nagle Janek zerwał się z ziemi i rzucił się z tyłu na Franka.

– Ja ci jeszcze pokażę – krzyknął.

Obaj chłopcy ponownie znaleźli się na ziemi i zaczęli się tarzać w uścisku. Po dłuższej chwili barowania się wstali i stali tak naprzeciw siebie, niczym dwa koguty gotowe do dalszej walki. Patrzyli sobie w oczy. Nagle Janek zamachnął się, aby uderzyć przeciwnika. Franek uchylił się i odpowiedział ciosem, uderzając prosto w nos napastnika. Uderzenie było trafne i bolesne.



Chłopak złapał się obiema rękami za twarz i odszedł na bok. Pomiędzy jego palcami pojawiła się krew.

– Koniec już! Koniec! – Zenek podbiegł do Franka i odciągnął go. – Już ma nauczkę – powiedział.

Odeszli, zerkając na pokonanego, który w asyście kolegów stał oparty plecami o komórkę. Ciągle jeszcze trzymał się za twarz.

– Nic mu nie będzie – dodał Zenek.

Dawid, który z małym Bogusiem obserwował bójkę z dalszej odległości podszedł do przyjaciół.

– Flanuś! Flanuś! Nic ci nie jest? – zatroskany Boguś zbliżył się, posuwając się na kolanach.

Objął Franka za nogi. Przyłożył głowę do jego kolan.

– Tofam cie Flanet – wyszeptał.

Po tym zdarzeniu chłopcy włóczyli się bez celu. Rozmawiali niewiele, ale wieczorem Franek przypomniał sobie o obietnicy kolegi.

– Miałeś nam coś pokazać.

– No, tak. To będzie nasz prezent na twoje urodziny. Tylko bez gadania. Róbcie, co mówię i macie być cicho.

Franek i Dawid przytaknęli, spoglądając z zaciekawieniem na przyjaciela. Szli dalej ulicą Poznańską. Stamtąd skierowali się w stronę domu Zenka. Przeszli przez łąkę, na której pasły się konie Pejgów, a wśród nich stary, wysłużony „Cukier", któremu nadano takie imię ze względu na to, że cukier mógł jeść w każdej ilości – po prostu go uwielbiał. Weszli od strony podwórza na dach komórki. Zenek przyłożył palec do ust na znak, żeby byli cicho. Położył się na brzuchu, później podczołgał się do końca dachu tak, żeby było widać sąsiednie podwórko. Przyjaciele zrobili to samo.

– Na co czekamy? – spytał szeptem Franek, kiedy rozejrzał się wkoło i nie dostrzegł nic ciekawego.

– Cicho – również szeptem odpowiedział Zenek.

Powoli zapadł zmierzch. Leżeli tak i czekali, oganiając się przed komarami, aż w oknie na poddaszu sąsiedniego domu

zabłysło światło. Do izby weszła młoda dziewczyna. Postawiła na stołku miskę z wodą i zaczęła się rozbierać.

– Tu niezbyt dobrze widać, chodźcie tam bliżej – szepnął Franek i zaczął przesuwać się w bok.

– Cicho – syknął Zenek – bo nas usłyszy.

– Kto to? – spytał Dawid.

– Bronka. Służąca. Cicho bądź.

Franek jednak nie wytrzymał. Wstał i zaczął przechodzić dalej i nagle... Łubudu!!! Rozległ się trzask, skrzek kur i Franka nie było już na komórce. W pierwszej chwili chłopcy przylgnęli do dachu i zamarli z przerażenia. U Bronki w izbie zgasło światło. Pomyśleli o Franku. Podczołgali się do dziury w zarwanym dachu. W środku panowała całkowita ciemność, tylko głośne gdakanie kur oznajmiało, że pod nimi znajdował się kurnik.

– Franek! Franek – Dawid starał się jak najciszej wezwać kolegę. – Coś mu się pewnie stało – powiedział zatrwożony.

Jednak po chwili dało się słyszeć ciche wołanie.

– Chłopaki. Wyciągnijcie mnie stąd.

– Nic ci nie jest?

– Chyba nie, ale chce stąd wyjść, a sam nie dam rady.

Zenek próbował pomóc. Wyciągnął na oślep ręce w dziurę. Dawid usiadł mu na nogach, żeby go przytrzymać.

– Łap się, bo nic nie widzę – zawołał w ciemność.

Po kilku próbach, wydostali przyjaciela z opresji. Zeszli na dół i usiedli pod lipą.

– Cały jestem czymś upaprany. Rety, co to? – Franek obwąchał swoją rękę.

Koledzy zaczęli się śmiać.

– Jak to, co to?

– Tylko nie mówcie nikomu, bedą sie śmiać. A jak ojciec by sie dowiedział, to nawet nie chce myśleć, jakie by było lanie.

– Jakbyś się przyznał, to może by nie było – podpuszczał go Zenek.

– Tak, akurat i co mam powiedzieć, że dach się zarwał i wpa-



dłem do kurnika na jaja, bo chciałem gołą babe zobaczyć? – koledzy roześmiali się jeszcze bardziej, a z nimi także poszkodowany.

W ciągu kilku następnych dni Dawid i Zenek dokuczali trochę Frankowi, mówiąc zamiast cześć – „ko, ko, ko...", ale były to niezłośliwe żarty i nikt inny nie dowiedział się o nocnej przygodzie.

## Wakacje

Uroczystość zakończenia roku szkolnego była krótka ze względu na burzę, która rozpętała się nad Zelowem. W chwili, kiedy zerwał się gwałtowny wiatr, a pierwsze krople deszczu spadły na ziemię, zebrani na podwórku szkolnym uczniowie i zaproszeni goście, na czele z nowym wójtem – Władysławem Gąsiorowskim, schronili się do klas. Przez okna patrzyli na strumienie wody, lejące się z nieba i czynili znak krzyża po każdym uderzeniu pioruna.

Letnia burza, jak szybko przyszła, tak szybko minęła, pozostawiając po sobie tylko kałuże wody i połamane gałęzie drzew. Chłopcy zdjęli buty i na boso wybiegli z budynku.

– Hura! – wrzasnął Zenek. – Nareszcie, koniec nauki.

– Fajnie jest mieć wakacje – powiedział Dawid.

– Kto bedzie miał, to bedzie – odpowiedział Franek. – Tata całe dnie robi na budowie, a ja mam być za pomocnika murarza. Tu w Rynku bede pracował, przy czeskim parafialnym. No, albo jaki inny zarobek mam znaleźć.

– Ja też mam pomagać w piekarni i w ogóle... Ale może byśmy najpierw trochę pohandlowali – zaproponował Zenek.

– To znaczy? – spytał Dawid.

– No, tak jak wy chodzicie po wsiach i sprzedajecie. Weźmiemy jakąś skrzynkę albo wózek. U mnie jest jeden – taki stary.

Będziemy po wsiach sprzedawać różne towary. Niedługo żniwa, to ludzie nie będą mieli czasu przyjeżdżać do sklepów.

– Pomysł nawet niezły. Chyba tate mi pozwoli?

– Jasne, że pozwoli. Jak powiesz, że będziesz sie uczył handlu to mur, beton – śmiał się Franek.

– A za co kupimy towar? – pytał dalej Dawid, także się uśmiechając.

– Mam trochę swoich pieniędzy, a resztę pożyczę od ojca. Pieczywo możemy wziąć z naszej piekarni, a jak rozkręcimy interes, to będziemy na trzy wózki jeździć – Zenek zatarł ręce, widząc w myślach zarobione pieniądze.

– Ale na budowe też musze. Tata jest przecież mistrzem murarskim i już mi zapowiedział, że ja też mam sie tego zawodu uczyć, bo coraz więcej sie murowanych domów buduje i robota pewna. A później musze pomagać na wsi, przy żniwach.

– No, to zaczniemy od jutra. Przez kilka dni. Tyle nam dadzą wakacji – z optymizmem powiedział Zenek. – Zresztą spotkajmy się wieczorem przy pomniku, albo jeszcze lepiej – u mnie, to pokażę wam ten wózek.

Chłopcy zastali kolegę, kiedy wystawiał ze stodoły mały, drabiniasty wózek z dyszlem.

– Co? Dobry będzie? – spytał.

– Jasne! – Franek zaczął oglądać pojazd okiem fachowca, po czym usiadł w nim, jak hrabia w karocy.

– No, chłopaki! Wio!

Jeździli jak szaleni, wymieniając się co jakiś czas. Kiedy mieli już dość, usiedli zmęczeni w cieniu wielkiej, rozłożystej lipy.

– No, to wszystko jasne. Spotykamy się rano, robimy zakupy i… gdzie pójdziemy najpierw? – Zenek próbował ustalić plan działania.

– Dzielną, do Bujen – odpowiedział Franek. – Babcia, albo ciocia na pewno coś kupią.

– I co, będziemy tak od chałupy do chałupy chodzić?

– Bez pracy nie ma kołaczy – wtrącił Dawid.



– Odezwał się ten, co tak ciężko pracuje – uśmiechnął się Franek.

– A, co! Myślisz, że my to już nic nie robimy? – żachnął się Dawid. – Praca głową, to też praca i jeszcze lepiej się opłaca.

– O! I jeszcze do tego poeta! – Franek wykrzywił usta, udając uśmiech.

– Nie kłóćcie się! Razem mamy interes robić!

A zwracając się do Dawida, dodał:

– Wiesz przecież, jaki on jest. Najpierw coś palnie, a później pomyśli.

– Przepraszam... – Franek podał rękę koledze.

Dawid odwzajemnił uścisk dłoni.

Następnego dnia rano trzech przyjaciół ciągnęło wózek wyładowany przeróżnymi towarami.

– Tylko mydła i powidła tu brakuje – powiedział Franek, ocierając pot z czoła.

– I całe szczęście, bo już nie daję rady – dodał Dawid, stękając.

– Jak coś sprzedamy, będzie lżej – Zenek był pełen optymizmu.

Kiedy weszli pomiędzy pierwsze chałupy, rozdarł się na całe gardło.

– Mydło i powidło! Mydło i powidło! Koledzy spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać.

– A jak ktoś będzie chciał mydło? Przecież nie mamy.

– To wyjaśnimy, że to oznacza, że mamy wszystko inne, tylko nie to. Po prostu taka reklama…

– Mydło i powidło… – krzyczał dalej.

Interes szedł na tyle dobrze, że już po trzech dniach zwróciły się im pieniądze zainwestowane w towar i jeszcze zostawało po 5 złotych dla każdego.

– No, jeszcze ze dwa dni, bo w sobotę muszę być w piekarni, parobek złamał rękę.

– Ja w Szabas też nie mogę – dodał Dawid.

Franek spojrzał na kolegów.

– Starczy nam na kino i na lody i na… a może przejedziemy sie do Łodzi? Naszym czerwonym autobusem. Z panem Czajkowskim. Pokazałbym wam Łódź. Byłem tam z tatą. Zabraliśmy sie ciężarówką, jak wieźli towar z fabryki. Już wam kiedyś mówiłem. To jest dopiero miasto. Tam sie dopiero buduje. Tam są domy wysokie... i fabryki, co tysiąc ludzi w takiej ma prace. Mówie wam! To jest miasto.

– Wolałbym do kina. Jeszcze nie byłem w kinie – powiedział Dawid.

– No, dobra. Też bym poszedł, ale nie grają nic ciekawego. Ja ide po niedzieli na budowe, a za tydzień, jak pogoda dopisze, do dziadków na żniwa. Jak zbierzemy zboże, to zaprosze was na wieś. Już mi babcia mówiła, żebym z kolegami przyszedł. Bedziemy spać w stodole, pójdziemy na raki, ryb nałapiemy... Fajnie bedzie.

Ciężka była praca na wsi. Ludzie w pocie czoła pracowali, siejąc, orząc, zbierając plony. Za pomoc w siewach i zbiorach na własnym polu, szli i pracowali na odrobek. Za pożyczenie konia, spłacali przysługę w polu sierpem lub cepem w sąsieku[44] lub na klepisku. Pomagali sobie nawzajem. Żyli w zgodzie i ogólnym wzajemnym poszanowaniu. Z Bogiem na ustach i w sercach. Organizując święto plonów, dziękowali za zbiory podczas uroczystej Mszy Świętej.

Plony były dobre tego roku. Zima, choć mroźna, nie zaszkodziła oziminie, bo duża ilość śniegu przykryła pola, niczym pierzyna. Na wiosnę śnieg nawodnił pola, a słoneczne, ciepłe lato spowodowało, że ziarno było grube i suche. Sady pełne dojrzewających owoców, a lasy pełne darów natury.

– Szczęść Boże na pracę – powiedział Zenek, kiedy wraz z Dawidem, zastali Franka zagrabiającego rżysko.

[44] *Sąsiek – wydzielona część stodoły, w której magazynuje się siano lub zboże.*



– Bóg zapłać. No! W końcu jesteście!

– Tak bardzo się za nami stęskniłeś? – powiedział Dawid.

– Pewnie! Nareszcie troche odpoczne. Tu jest co robić, a jeszcze czuje wszystkie kości od dźwigania cegieł i zaprawy. Tylko trzy dni wytrzymałem. Tata powiedział, że jestem jeszcze za młody i nie kazał mi dalej tak ciężko pracować. Od września mam pomagać tylko przy lżejszych pracach. Dziadkowie też mnie nie gonią. Miałem robić, dopóki nie przyjdziecie, a później użyć wakacji. Powiem wam, co wymyśliłem, tylko dokończe ten kawałek – wskazał ręką skrawek niezagrabionego jeszcze pola.

Nagle od strony domu rozległo się radosne szczekanie Burka i głośne wołanie.

– A gdzie wy tak chodziliście w taki gorąc? W takich buciorach?

Dziadek stał przy płocie i krzyczał do staruszki, która powoli zbliżała się od strony lasu. Chłopcy podbiegli do niego.

– W taki upał, w takich zimowych buciorach się wybrała – zwrócił się do chłopców. – A opatulona, jak zimą.

– To moja prababcia. Ma już ponad 90 lat – wyjaśnił Franek.

Tymczasem kobieta zbliżyła się do nich.

– A co, martwiłeś się? – powiedziała do syna. – Na bedkach[45] byłam.

– No, gdzie wam do głowy przyszło, żeby takie ciężkie, filcowe buty na nogi zakładać i to w taki upał.

Staruszka zwróciła się w stronę chłopców.

– Patrzta chłopaki, un by mi kazał w taki skwar takie ciężkie buciory na plecach nosić – uśmiechnęła się i poszła do domu.

Dziadek machnął ręką, a chłopcy, uśmiechając się, wrócili na pole, aby dokończyć zagrabki.

– No, nareszcie – Franek przeciągnął się i położył na granicy obok kolegów.

[45] *Bedki – gwarowo grzyby.*

– Mów, co wymyśliłeś – powiedział Zenek. – Aż się boimy, co ci znowu do łba strzeliło.

– Sie boicie, to moge nie mówić – Franek udał obrażonego.

– No, mów! Nie wygłupiaj się.

– No, dobra. Wybierzemy w lesie jakieś miejsce. Wykopiemy w ziemi dużą dziure, przykryjemy drewnem i zasypiemy ziemią, tak żeby nikt nie zauważył. Wejścia też bedą ukryte. Takie korytarze porobimy. Wszystko tak urządzimy, żeby nikt nie mógł znaleźć.

– Świetny pomysł – zapalił się Zenek.

– Ja, jako przyszły budowniczy, zajme sie planem – kontynuował Franek.

– A po co nam to? – spytał Dawid bez entuzjazmu.

– No ten, to jak zwykle… – zdenerwował się Franek.

Powstrzymał się od dalszego komentarza i tylko ręką machnął, ale po chwili dodał:

– No, jak to po co?

– Bedzie sie tam można ukryć. A przede wszystkim zbudujemy coś sami. Bedzie tylko nasze. Kumasz? A na zime przyda sie babci. Można tam bedzie warzywa przechować, albo nawet teraz, mleko można kwasić, albo…

– No dobrze już, dobrze, rozumiem – przerwał Dawid, uśmiechając się.

Po nocy na świeżym, pachnącym sianie chłopcy wstali głodni i rozespani, ale po śniadaniu, składającym się ze świeżego chleba z masłem, serkiem i ciepłym mlekiem, spoglądali na świat bardziej optymistycznie i ochoczo zabrali się do realizacji nakreślonego poprzedniego dnia planu.

Starannie dobrane miejsce, na pagórku, pomiędzy starymi drzewami, zarośnięte chaszczami, było prawie niedostępne.
Jedno wejście zaplanowali od strony rzeki, drugie pod konarami starego, przewróconego przez wiatr drzewa.

– Dzisiaj tylko kopiemy. Jutro przykryjemy i całość ukryjemy – zarządził Franek.



Po kilku godzinach ciężkiej pracy byli zmęczeni i ubrudzeni, jak nieboskie stworzenia.

– Dość na dzisiaj. Przecież nie będziemy cały dzień tak kopać. Nikt nas nie goni. Idziemy się kąpać – Zenek pierwszy rzucił łopatę i jak stał, tak skoczył do wody, a za nim koledzy.

– Pokaże wam, jak sie łapie ryby rękami – powiedział Franek.

– Wiem, wiem – Dawid machnął ręką – u nas w Szczercowie też łapali, ale ja nigdy nie próbowałem.

Franek i Zenek stanęli po przeciwległych, zarośniętych szuwarami i przerośniętych konarami drzew, brzegach rzeki. Zanurzyli obie ręce aż po barki w wodzie i zaczęli ją mącić, mieszając z mułem i piachem. Potem, idąc wzdłuż brzegów, wkładali ręce do wody, starając się wyczuć otumanioną brakiem widoczności rybę w jej kryjówkach.

– Dawid! Wyjdź na brzeg, urwij sitowia i zbieraj ryby – poprosił kolegę Zenek.

– Jest! – krzyknął Franek i rzucił dużego okonia prosto pod nogi Dawida, który szybko przełożył sitowie przez skrzela zdobyczy i już pierwsza, a po chwili druga i trzecia rybka wisiały nanizane na sitowie, niczym obwarzanki na sznurek.

Kiedy wracali do domu dziadków, słońce zachodziło już nad lasem.

– Ale bedzie kolacja. Dziadek sie ucieszy. Bardzo lubi ryby. Tylko babcia nie bedzie sie tak cieszyć, bo bedzie je smażyła. Jutro rano pójdziemy na grzyby, a jak skończymy ziemianke, to nałapiemy raków.

## Pierwsza praca

Letni czas dobiegł końca. „Wszystko, co dobre, szybko się kończy" – pomyślał Dawid, siedząc na strychu w swoim ulubionym miejscu i obserwując, co dzieje się dookoła. Przez okno wi-

dział, jak budują dom u Zenka, a przez świetlik – od strony Rynku przyglądał się, jak powstaje duży dom budowany przez Czechów. Widział także Franka, który jako pomocnik murarza przyuczał się do zawodu. Trochę mu zazdrościł, że już skończył szkołę, że wokół niego tyle się dzieje. On pewnie całe swoje życie spędzi przy maszynie do szycia, ale jak mówi jego tate: „Każdy ma swój los od Boga przeznaczony". On będzie krawcem, a Franek murarzem. A Zenek? Któż to wie?

Franek pracował w pocie czoła i chociaż ze względu na swój młody wiek był raczej potrzebny do robót typu: przynieś, wynieś, pozamiataj, to i tak wracał do domu bardzo zmęczony.

– No, to zrobimy przerwę na śniadanie – oznajmił pan Szkudlarek, który kierował ekipą murarzy i pomocników pracujących na budowie.

W przygotowanych wcześniej miskach z wodą obmyli twarde, zaprawione do ciężkiej pracy ręce i spocone, ogorzałe od słońca twarze. Zasiedli, gdzie kto mógł. Wyciągnęli kanapki i bańki z czarną, zbożową kawą i zabrali się do jedzenia.

– Panie majster – odezwał się młody murarz, Józef Szymańczyk. Słyszał pan, że nasi zdobyli Puchar Gordona-Bennetta?

– Tak. Czytałem w gazecie.

– Dobrzy są – kontynuował Józek – Już teraz na stałe go mają, bo trzeci rok z rzędu go wygrali.

– Też bym sie przeleciał takim balonem – westchnął Franek.

– Pierwej byś w portki narobił – wtrącił, mówiąc z ustami pełnymi jedzenia, siedzący nieco dalej, starszy robotnik Walenty.

Mężczyźni roześmiali się w głos.

– Na pewno nie – obruszył się chłopak – nie boje sie wysokości.

– No, żartowałem. Sam bym miał pietra.

– Tato. Kupimy sobie radio? – spytał Franek. – Różnych ciekawych rzeczy można się dowiedzieć: i o sporcie, i co się dzieje na świecie.



– Tak – wtrącił Szymańczyk. – Całkiem niedawno mówili, że Dar Pomorza, taki nasz żaglowiec, opłynął cały świat dookoła. A w sierpniu były audycje z Mistrzostw Świata i można było posłuchać, jak Walasiewiczówna zrobiła rekord świata na 200 metrów. Ona to dopiero biega.

– A Kusociński, to nie? – wtrącił Walenty.

– No też, ale ona to na krótkie dystanse, no i to kobieta.

– A co kobieta, to gorsza? – spytał Szkudlarek.

– No... nie – Szymańczyk zaczerwienił się – ale, no... wie majster, to kobieta.

– To co, tato? Kupimy? Zenek już ma i w wielu domach jest.

– Zobaczymy, co mama powie, ale po prawdzie, to by się przydało. No, chłopy! Koniec gadania. Bierzemy się do roboty, niedługo glajcha[46] i przechodzimy na szkołę.



*Budowa szkoły nr 1 w Zelowie – 1936 r.*

[46] *Glajcha – pęk kwiatów (wieniec) zatykany przez murarzy w najwyższym punkcie ukończonej budowli.*

## Propozycja

Dni były coraz krótsze, a praca przy maszynie przy słabym oświetleniu męczyła wzrok. Salomon coraz częściej zakładał okulary i coraz częściej robił przerwy, aby dać odpocząć zmęczonym oczom. Tego dnia pracował już od wielu godzin.

– Nu. Czas na odpoczynek – powiedział głośno do siebie. Przeciągnął się i poszedł do kuchni.

– Może ci zrobić herbaty? – zapytała Rachela.

Usiadł przy stole.

– Tak. Chętnie się napiję i odpocznę ja sobie chwilę, albo... moja droga żono, ziółek mi naparz.

Rachela przegarnęła w piecu, postawiła czajnik z wodą do zagotowania i podeszła do balii.

– Pranie namoczyłam – zaczęła pocierać mokre ubrania o tarę.

– Cicho tu dzisiaj. Gdzie Dawid i Sara?

– Gdzieś wyszli. Dawid to wiesz, ciągle gdzieś lata, ale Sarcie rzadko wychodzi, a też powinna. Mało to się narobi w domu? We wszystkim mi pomaga.

Salomon nie posiedział długo.

– Koniec odpoczynku. Bez pracy nie ma kołaczy.

– Jak się zioła zaparzą, to ci zaniosę, ale mógłbyś trochę odpocząć.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, moja ty droga żono? Kto by tak zadbał o mnie, jak ty? – uśmiechnął się i wyszedł.

Ledwie zasiadł do maszyny, a drzwi otworzyły się i weszło trzech mężczyzn w wysokich, żydowskich kapeluszach i długich zimowych płaszczach.

– Shalom Aleichem.

– Shalom – Salomon ukłonił się nisko. – Proszę, proszę dostojnych gości – wskazał ręką stołki stojące przy ścianie, zapraszając do ich zajęcia. – Proszę zdjąć okrycia i siąść sobie wygodnie.



Czemu zawdzięczam wizytę tak szanownych gości? Jakie dobre, czy nie dobre wieści sprowadzają w moje skromne progi?

Mężczyźni w sile wieku, wytwornie ubrani, rozsiedli się wygodnie na wskazanych miejscach.

– Pan, panie Berkowic mnie zna – odezwał się z wyglądu najmłodszy z nich.

– My jesteśmy w Radzie naszej żydowskiej gminy.

– Nu znam, pana panie Siwek – odpowiedział spokojnie Salomon, stojąc przed gośćmi.

– Mamy do pana ważną sprawę, ale proszę usiąść.



*Członkowie żydowskiej rady.*

Salomon posłusznie zajął wolne miejsce. Tymczasem głos zabrał najstarszy Żyd, jedyny który miał wąsy, wydatną brodę i pejsy.

– Panie Berkowic, przychodzimy z pewną propozycją. Propozycją, na którą odpowiedź nie musi być dana zaraz, a dopiero po poważnym zastanowieniu się.

Salomon nie domyślał się powodu wizyty, ale nie odpowiedział. Czekał na dalsze słowa.

– Członkowie Rady jednogłośnie proponują panu przystąpienie do nas w miejsce zmarłego niedawno Moszka Goldmana. Wybory za miesiąc. Mamy większość w naszej Radzie, więc zakładamy, że nie będzie z tym problemu.

Berkowic podrapał się w głowę.

– Taki zaszczyt, taki zaszczyt. Czy ja się nadaję panie Frydman?

Na pytanie Salomona odpowiedział milczący do tej pory pucołowaty na twarzy, ważący chyba ze 100 kg Symcha Satt, pełniący w żydowskiej gminie funkcję sekretarza.

– Mieszka pan tu między nami już dwa lata i zyskał pan sobie miano dobrego, uczciwego człowieka oraz przestrzegającego zasad naszej religii, kultury i obyczajów, Żyda. Nadaje się pan, panie Salomon.

– Nu, a w czym ja mógłbym pomoc?

– Ty Berkowic jesteś mądry Żyd, ty będziesz nam radził i zachęcał ludzi do realizacji naszych planów. Takich nam trzeba, co rozwiążą nasze problemy, a niemało ich, niemało w nasz kahał. I niemało ich ma cała gmina Zelów, z którą współpracujemy. Tych oto dwóch panów – to mówiąc, wskazał ręką na towarzyszy – jest członkami zelowskiej Rady. Problemów jest co nie miara – powtarzam. Choćby na ten przykład ostatnie strajki, czy budowa synagogi.

– Tak – wtrącił Icek Frydman. – Trzeba postawić dużą, murowaną synagogę. Ta jest za mała na nasze potrzeby. Do tej pory tylko się gadało, a słowa z wiatrem uciekały, czas od słów przejść do czynów. Katolicy postawili swój kościół, Niemcy też, Czesi budują duży parafialny dom, od 11 października buduje się przy



Kilińskiego Szkoła Powszechna. A my, co? Trzeba się brać do roboty i to już.

– No, a strajki też spędzają nam sen z powiek – ponownie głos zabrał pan Satt. – Zelów na krosnach stoi, a tu kryzys na całym świecie. Brak zbytu, to brak gotówki, a co za tym idzie zaległe pensje, a więc i niezadowolenie pracowników. My rozumiemy i tkaczy w fabrykach i chałupników, i innych robotników. Za coś oni muszą wykarmić swoje rodziny, ale skąd my mamy na to brać...? Nie ma gdzie towaru sprzedać, a przecież i dla nas musi być zysk. Rajchert na ten przykład, tak w ubiegłym roku, jak i teraz, znalazł sobie takich, co, mimo że mniej płacił, to przyszli do pracy. Ale zbuntowali się ludzie z innych zakładów i poszli na nich z kijami. Aż policję musiał wzywać. Nawet strzelano w powietrze dla ostudzenia atmosfery. Teraz tylko chodzą i hasła noszą po mieście. Żądają podwyżek, chleba, a bezrobotni pracy, ale jak tu kogo zatrudnić, kiedy na wypłaty nie ma dla tych, co już pracują? A my, jako Rada, musimy tak robić, aby i pracownicy i pracodawcy byli zadowoleni.

– Nu. Ciężka sprawa – odrzekł Salomon. – Trudno jest tak zrobić, żeby był i wilk syty i owca cała.

Przez chwilę zrobiło się cicho.

– Zasiedzieliśmy się – powiedział Josek Siwek. – Ty Salomon przemyśl naszą propozycję i daj nam jak najszybciej odpowiedź. Chyba, że już teraz możesz odpowiedzieć? – spojrzał pytająco w stronę gospodarza.

Salomon westchnął głęboko.

– Dziękuję panom za zaufanie. Wielki to zaszczyt dla mnie i mojej rodziny być w gronie tak dostojnym. Będę służył swoją radą, jak najlepiej potrafię. Jeśli tylko zagłosują na mnie, to macie moją zgodę.

– To dobrze, odpowiedział Frydman. – Mądrą podjąłeś decyzję, Salomon. Oby nad twoją rodziną i domem twoim czuwał Wszechmogący. Obyście byli zapisani na dobry rok – dodał przy pożegnaniu.

## Wyznanie Racheli

Dawid powtarzał algebrę, siedząc przy oknie w zakładzie ojca. Już tylko pół roku i koniec szkoły. Postanowił, że musi już teraz wziąć się do nauki, aby cenzura była odpowiednia. Z polskim nie miał problemów, tylko te cyferki, dzielenia, mnożenia, ułamki – nie wchodziły mu do głowy. „Jakoś to będzie – pomyślał o końcowym egzaminie. Przecież z innymi przedmiotami spokojnie dam sobie radę, a tego jeszcze zdążę się nauczyć, mam jeszcze dużo czasu" – złożył książki i przez wymalowane mrozem okno zaczął obserwować niebo.

Białe, kłębiaste chmury stały wysoko na niebie. Pomiędzy nimi prześlizgiwały się raz po raz promienie zimowego słońca. Przypomniał sobie wakacje: „Patyki", kąpiel z kolegami w Pilsi. „Te nadchodzące będą już ostatnimi, a co dalej? Pewnie zostanie krawcem, jak tate".

Ojciec siedział pochylony nad maszyną do szycia.

„Czy tak będzie wyglądało moje życie?" – zamyślił się.

– Tate. Kończę szkołę w tym roku.

– Wiem – odparł ojciec, nie odrywając się od pracy.

– Ale, co dalej tate?

Ojciec odwrócił się i spojrzał na syna.

– Posłuchaj ty mnie uważnie. Przychodzi taki czas w życiu każdego człowieka, że trzeba pomyśleć o przyszłości. Trzeba zacząć podejmować decyzje, które będą miały wpływ nie tylko na twoją przyszłość, ale i na innych, bliskich ci ludzi. Niedługo ty będziesz dorosły, będziesz ty miał swoją rodzinę, ale tę rodzinę trzeba będzie wyżywić i ubrać, i dzieci na nauki posłać. Nu, a kim ty chciałbyś być? Co ty synu chciałbyś robić w swoim życiu?

– Ja to bym chciał książki pisać, jak pan Tuwim, albo Sienkiewicz, czy Reymont.

– O! To wielcy ludzie są. Sława – dobra rzecz, ale rodziny to ty z tego pisania nie wyżywisz.

– No, to chyba krawcem będę, jak ty, tate.



– Jak ja, mówisz. Tak siadaj i szyj.

– Dzisiaj? Teraz? Nie umiem przecież.

– Tak i właśnie. Najpierw skończ naukę w szkole, a potem ja nauczę ciebie krawiectwa. A jak będziesz miał czas na pisanie, to pisz. Nie rezygnuj ze swoich marzeń.

W tej chwili do izby weszła Rachela.

– Chciałam porozmawiać z twoim tate. Idź i przynieś drewna i torfu.

Dawid posłusznie wyszedł. Rachela podsunęła stołek bliżej męża i usiadła przed nim twarzą w twarz.

– Rozmawialiśmy o przyszłości – powiedział Salomon.

Rachela nie odpowiedziała, tylko uśmiechała się tajemniczo.

– Nu, o co chodzi? – zrozumiał, że żona chce mu powiedzieć coś bardzo ważnego.

Złapał ją za ręce i czekał na odpowiedź.

– Będziesz ojcem – usłyszał spokojny głos kobiety.

Nastała długa chwila milczenia.

– Przecież przez 15 lat Pan Bóg nie pobłogosławił – powiedział z niedowierzaniem Salomon.

Małżonka uścisnęła mu dłonie.

– A teraz pobłogosławił – odparła.

Pocałował żonę w czoło i wzniósł ręce ku niebu.

– Chwała niech będzie Najwyższemu! Trzeba powiedzieć dzieciom…

## Trudny okres

Na prawdziwą, ciepłą wiosnę 1936 roku trzeba było długo czekać. Śniegi i mrozy trzymały jeszcze w kwietniu i wszyscy: ludzie i zwierzęta, mieli serdecznie dość zimy. Wielu ludzi głodowało. Jedli przegniłe ziemniaki i wyszukane na śmietnikach resztki wyrzucane z bogatszych domostw. Nie orali i nie siali, bo w polach stała woda. Biedni i chorzy żebrali przed kościołem.

Chodzili po prośbie od domu – do domu za pracą i kawałkiem chleba. W fabrykach buntowali się robotnicy, żądając lepszych płac. Urządzali marsze i strajki.



*Manifestacja w Rynku.*





*Narcyza Łuczyńska i inż. Edmund Ulman na balu dobroczynnym PCK – 1934/1935 r. Robótki ręczne na cele dobroczynne przy świetlicy zboru kościoła ewangelicko-reformowanego.*



Trudny to był okres i w mieście, i na wsi. Opieka Społeczna i zelowscy lekarze wołali o pomoc do gminy. Ta pomagała na tyle, na ile było ją stać i prosiła o pomoc Powiat Łaski i wojewodę łódzkiego. Polski Czerwony Krzyż oddział w Zelowie, na czele z doktorem Włodzimierzem Łuczyńskim, organizował bale charytatywne i loterie fantowe, na których kobiety sprzedawały wykonane własnoręcznie obrusy i serwety. W kościołach zaczęto odprawiać msze święte w intencji chorych i głodujących. Bogatsi obywatele organizowali zbiórki odzieży i jedzenia, aby wspomóc potrzebujących. Mimo to, wielu było chorych. Brak należytej higieny i niedostatek pożywienia sprawiły, że zmarło wielu ludzi, wielu też chorowało, zwłaszcza starszych i dzieci.



*Szpital Chorób Zakaźnych w Zelowie.*